

# FORUM 92

## MYŚLI WOLNEJ

Krakowski magazyn racjonalistów



Francisco Goya  
z cyklu *Okropności wojny*

### W numerze m.in.:

- **Tadeusz Żeleński-Boy**, *Literatura mniejszości seksualnych*
- **Kazimierz Pasenkiewicz**, *Zielone Miasto*
- **Bogumił M. Woźniakowski**, *Polskie wolnomularstwo po roku 1989*
- **Agata Ursyn**, *Religia w polskiej szkole publicznej*
- **Mieczysław Jakubiec**, *W covidowej mgle...*



### OD REDAKCJI

- 1 Gdy rozum śpi
- 2 Antoni Słonimski  
TEN JEST Z OJCZYZNY MOJEJ

### TEMATY SPRZD LAT

- 3 Piotr Augustynek – *Wstęp i opracowanie*  
T. Boy-Żeleński – „*Literatura mniejszości seksualnych*”

### MYŚLAĆ BELFREM

- 7 Piotr Augustynek – *Historia tu i teraz*

### W STULECIE NIEPODLEGŁOŚCI

- 8 Kazimierz Pasenkiewicz – *Zielone Miasto*

### RELIGIOZNAWSTWO

- 16 Bogumił M. Woźniakowski – *Polskie wolnomularstwo po roku 1989*

### PAŃSTWO A KOŚCIÓŁ

- 24 Agata Ursyn – *Religia w polskiej szkole publicznej. Trzydzieści lat zmian w przepisach prawa*

### SPACER PRZEZ HISTORIĘ

- 31 Danuta Stolarek – *Kobiety ostatniego cara Imperium Rosyjskiego: - Matylda Krześcińska - Aleksandra Fiodorowna – ostatnia carowa Imperium Rosyjskiego*

### RECENZJE

- 49 Krzysztof Woźniakowski – *Andrus Kivirähk i jego niezwykły świat wyobraźni*

### FELIETONY

- 56 Mieczysław Jakubiec – *W covidowej mgle...*
- 58 Babcia – *Dzieciaki i zwierzaki*
- 59 Marchołt – *Daję, bo nie moje*

### 61 REFLEKSJE

### 63 Z PORTALI INTERNETOWYCH

### RADA PROGRAMOWA:

prof. dr hab.  
Krzysztof Woźniakowski  
– przewodniczący Rady,

### Członkowie:

prof. dr hab. Adam Chmielewski,  
prof. dr hab. Stanisław Ignacy Fiut,  
prof. dr hab. Jerzy Kochan,  
prof. dr hab. Jerzy Kornaś,  
prof. dr hab. Józef Lipiec  
dr Paweł Sękowski,  
prof. dr hab. Piotr Szydłowski,  
prof. dr hab. Jan Woleński.

### ADRES REDAKCJI:

30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5  
tel. 12 423-50-16; 501 567 547  
e-mail: j.kabaj@wp.pl  
sekretarz redakcji: tel. 501 286 053

### Wydawca:

Rada Wojewódzka  
Towarzystwa Kultury Świeckiej,  
30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5  
[www.forummysliwolnej.pl](http://www.forummysliwolnej.pl)  
Dom Fundacyjny  
im. Lidii i Leona Świeżawskich

### Skład, łamanie i druk:

Agencja Reklamowa Novum  
31-158 Kraków, ul. Krowoderska 66/8  
[www.novum.krakow.pl](http://www.novum.krakow.pl)

ISSN 1507-4781, Index 325813

**Redaktor naczelny:** Józef Kabaj. **Zespół redakcyjny:** Piotr Augustynek (sekretarz), Sławomir Brodziński, Mieczysław Jakubiec, Antoni Pietryka, Henryk Szydłowski, Artur Kozioł (red. techniczny). **Współpraca redakcyjna:** Alicja Górowska.

**Opracowanie graficzne:** Piotr Augustynek.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania tekstów i zmiany tytułów. Nie odsyłamy materiałów niezamówionych. Artykuły naukowe są recenzowane przez samodzielnych pracowników nauki.

Portrety postaci historycznych oraz reprodukcje dzieł sztuki zaczerpnięte z zasobów Wikipedii.

## GDY ROZUM ŚPI

Budzą się upiory. Upiory wojny, cierpienia, poniżenia, krzywdy i irracjonalnej nienawiści. Widzimy to tak niedaleko, niemalże u naszych granic.

Powraca to, o czym pomału zaczęliśmy zapominać. Wojna? Jaka wojna? Po katastrofie lat 1914-1918 i 1939-1945 to się już nigdy nie zdarzy. Przynajmniej nie w Europie. Cywilizowanej, uładowanej, kulturalnej, w miarę demokratycznej. Wojna jest przeciw rozumowi. Tak nam się wydawało. A przecież potem był konflikt bałkański. Z zażenowaniem przemilczany. Wyrzuciliśmy ze świadomości ten tragiczny splot wydarzeń. Podświadomie uznaliśmy go za peryferyjny, gdzieś na obrzeżach naszej fajnej Europy. Po cichu cieszyliśmy się, że to nie u nas.

Dzisiaj wojna jest coraz bardziej u nas. Nieomal słyhać wybuchy w Charkowie, zgrzyt czołgowych gąsienic na podkijowskich drogach. Wystarczy spojrzeć w ekran telewizyjny, zajrzeć do Internetu. Widzimy tysiące uciekinierów zza wschodniej granicy. To Ukraińcy, ale przede wszystkim TO LUDZIE. Kobiety z małymi dziećmi. Głód, niepewność, cierpienie fizyczne, przerażenie. Tam, skąd uciekli, zostawili wszystko, co mieli. Czy będą kiedyś mieli do czego wrócić? Wystarczy posłuchać relacji, wystarczy nie być głuchym i głupim, by się przekonać, że MY POMAGAMY. Na niespodziewaną skalę. Bez bohaterszczyzny i idiotycznego zadęcia. Jak kto może. I może to jest najskuteczniejszy sposób na odpędzenie demonów.

Boimy się ich, bo to przecież tak niedaleko. Boimy się, bo zracjonalizowaliśmy zagrożenie. Wojna czasami nie zna granic, nie szanuje paktów i umów, szczególnie gdy jest rozpętana przez szaleńca, który gdzieś zgubił rozum. Podobno jest pasjonatem historii, a zdaje się zapominać, co uczynili Hitler, Mussolini, Husajn, Kadafi i wielu innych, którzy zanim szczęśli, przynieśli światu wiele nieszczęść. Oni rzeczywiście uśpili rozum, szczególnie potrzebny w takich chwilach.

Red.



ANTONI SŁONIMSKI

**TEN JEST Z OJCZYZNY MOJEJ**

Ten, co o własnym kraju zapomina.  
Na wieść, jak krwią opływa naród czeski,  
Bratem się czuje Jugosłowianina,  
Norwegiem, kiedy cierpi lud norweski,

Z matką żydowską nad pobite syny  
Schyla się, ręce załamując żalem,  
Gdy Moskal pada - czuje się Moskalem,  
Z Ukraińcami płacze Ukrainy,

Ten, który wszystkim serce swe otwiera,  
Francuzem jest, gdy Francja cierpi, Grekiem –  
Gdy naród grecki z głodu obumiera,  
Ten jest z ojczyzny mojej. Jest człowiekiem.

Wiersze londyńskie,  
1942-46

Kwestia ogółu zjawisk, mieszczących się w skrócie LGBT, wielu osobom wydaje się czymś charakterystycznym dla XXI wieku. Często słyszy się z ust ludzi niezorientowanych, że „dawniej tego nie było”. Owszem, było, było, lecz często w ukryciu, obciążone strachem przed karą, przed ostracyzmem społecznym. Niby wszyscy wiedzieli, ale nie mówiło się o tym jako o istotnym zjawisku w cywilizacji.

I nagle... No właśnie – nie nagle, bo zjawisko preferencji seksualnych innych niż tradycyjne istnieje od niepamiętnych czasów. Wystarczy spojrzeć do uczciwych opracowań historycznych czy biografii, by dowiedzieć się, jak wielu wybitnych wodzów, artystów, filozofów, władców znajdowało się „po tamtej stronie moralności”. Celowo używam tego niemądrego określenia, które wciąż pokutuje w zbiorowej świadomości.

Tym razem przytaczam tekst naszego Patrona. Został zamieszczony w 1932 roku w serii „Biblioteka Boya”, w tomie pt. „Zmysły... Zmysły...”. Boy zwraca uwagę na homoseksualizm nie jako na dewiację, lecz jako na składową kulturę, jako na element kształtujący samoświadomość mniejszości.

Artykuł ten, pomimo tego, jak dawno powstał, jak wiele się zmieniło, niesie z sobą ciągle aktualne spostrzeżenia i pytania.

*Wybór i opracowanie – Piotr Augustynek*

**TADEUSZ ŻELEŃSKI-BOY**

## LITERATURA „MNIJSZOŚCI SEKSUALNYCH”

Wszystkie wielkie doświadczenia ludzkości odciskają się w języku. Militaryzm dał mu bezlik metafor: szańce, hufce, placówki, zwarte szeregi, itd. Potem nastąpiła gwara parlamentaryzmu; obecnie przyszła moda na Ligę Narodów. Z niej to najwyraźniej wiodą początek – przez analogię do mniejszości narodowych – terminy: mniejszości seksualne, ochrona mniejszości seksualnych, pierwszy raz (zdaje mi się) użyte na ostatnim kongresie seksuologicznym. Określenie to dość ściśle wyraża istotę rzeczy: „mniejszość”. I nigdy, zaiste, żadna mniejszość nie była tak uciskana.

Od czasu mego felietonu pt. *Przedwiosnie*, reprezentanci tej mniejszości w Polsce uważają mnie za swego sympatyka. Dostają listy, w których zwierają mi swoje niedole. Często – pod ścisłym incognito – roz-

mowy telefoniczne. W następstwie jednej z takich telefonicznych spowiedzi, otrzymałem paczkę specjalnych pism, wychodzących w języku niemieckim. Istotnie, na terenie Niemiec najlepiej można studiować te sprawy. Niemcy są jednym z niewielu krajów, gdzie utrzymały się jeszcze paragrafy przeciw homoseksualizmowi i gdzie się je z niemiecką dokładnością stosuje. Z drugiej strony, dotknięta tymi paragrafami część ludności przeciwstawia im wytrwałą akcję, opartą na szerokiej organizacji „mniejszościowej”.

– A jak jest u was z kwestią organizacyjną? – spytałem mego telefonicznego informatora.

– Och, u nas zupełny chaos! – odparł ze zniechęceniem w głosie.

Przestudiowałem te dokumenty sumiennie, z zaciekawieniem, z uczuciem zapuszczania się w cały nieznan – czy wolno rzec: dziewiczy? – gąszcz ludzkich pragnień, marzeń i bólów.

Jaki jest stan duszy tych, którzy mają nieszczęście należeć do mniejszości seksualnych? Bardzo łatwo na to odpowiedzieć. Odwróćmy sytuację. Pewien docent teologii, dr Joseph Mayer, najnieprzejednawszy z nieprzejednanych, pisze: „Nigdy nie można dopuścić, aby homoseksualizm był bezkarny, i nigdy nie może przyjść do zgody między homoseksualistami i heteroseksualistami: jedni lub drudzy muszą albo ulec, albo zwyciężyć” (...)

Strasliwa wizja tego docenta teologii! Otóż, wyobraźmy sobie, że zwycięża nie liczba, ale organizacja, i że ulega obecna większość; że homoseksualiści, jak już prawie wszędzie, opanowali ministerstwa spraw zagranicznych, opanowują ministerstwa wojny i inne, zamachem stanu narzucają dawnym ciemierzcom swoją władzę, płacąc im pięknym za nadobne.

Wyobraźmy sobie, jak by to wyglądało. Paragraf: „Stosunki z płcią odmienną – 5 lat ciężkiego więzienia. Prowokowanie do stosunków z płcią odmienną – od 1 do 3 lat więzienia. Pomoc w stosunkach z płcią odmienną – 3 lata”, itd., itd. I moglibyśmy być kontenci, że nie sięgają wstecz do dziejów, do owych jakże długo obowiązujących praw, stanowiących karę spalania ogniem za stosunki homoseksualne, że nie odpłacają nam wszystkiego oko za oko, zęb za ząb.

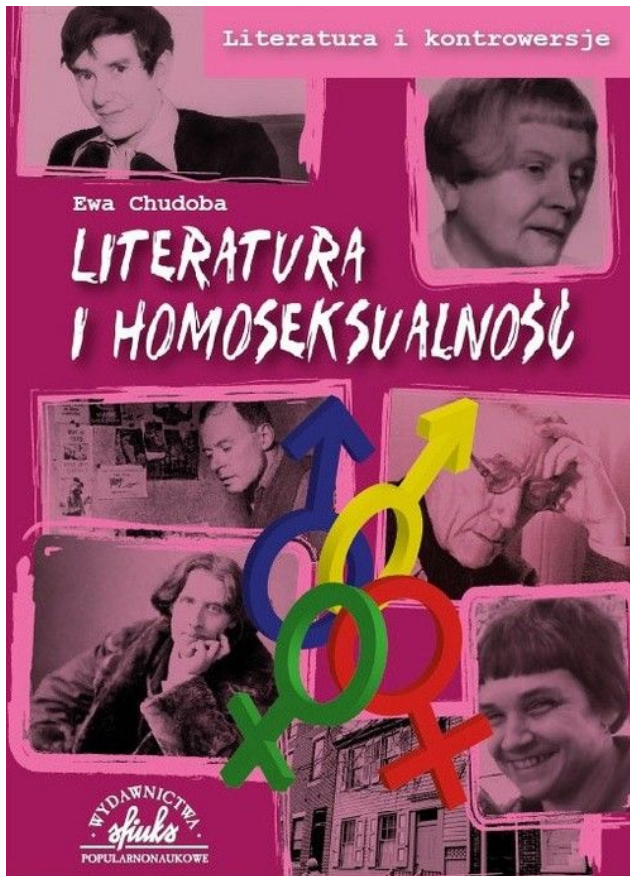
Nie żartuję. Jeżeli chcemy zrozumieć stan duszy prawdziwego (bo są i fałszywi) homoseksualisty, porównajmy go ze stanem duszy normalnego obywatela, któremu miłość do kobiety groziłaby ciężkimi karami, i który musiałby się kryć z najniewinniejszymi uczuciami niepewny, czy nie czyhają nań szantaż i denuncjacja.

Otóż dla homoseksualisty skłonność jego jest tak samo wrodzona, tak samo

wszczepiona przez naturę (religijni „homoeroci” nie wahają się powiedzieć: przez Boga), nieprzeparta. Istotnie, musi być nieprzeparta, skoro kilkanaście wieków prześladowań, ogień i żelazo, hańba i szyderstwo, przykład i wychowanie nie zdołały jej wypłenić. W ostatnim czasie nauka dostarcza coraz więcej argumentów na poparcie wrodzonego założenia homoseksualnego, wynikającego z pewnej swoistej sekrecji gruczołowej.

Czy u wszystkich? Nie, zapewne. Istnieją homoeroci naturalni, i inni – można powiedzieć – sztuczni. Skąd ci się biorą? Po większej części stwarza ich kodeks. Utrudniając normalny bieg stosunków anormalnych, kodeks stwarza specjalny przemysł, uprawiany przez typy spod najciemniejszej gwiazdy. Ci, nie będąc homoseksualistami z natury, stają się nimi dla zysku, dla uprawiania szantażu. I to wydanie homoseksualistów na łup wymusieli, pod których obuchem żyją lata całe, rujnowani, terroryzowani, często doprowadzani do samobójstwa, oto – skarżą się homoeroci – jedyny pozytywny rezultat kodeksu. A potwierdza ten pogląd coraz większy zastęp najpoważniejszych uczonych.

Wyobraźmy sobie położenie tych ludzi, między którymi znajduje się wiele najwartościowszych jednostek. Wszakże ten tajemniczy kaprys przyrody może wziąć sobie za przedmiot swej złośliwości wysokiego urzędnika, sędziego, prokuratora, kapłana. Co za życie! Niewinni w duszy, a gnieceni brzemieniem hańby społecznej, wciąż pod groźą jakiejś katastrofy, wciąż z niezaspokojonym głodem serca, ukrywający wstydliwie swoje życie, oto los!... I znamienne jest, że związek homoerotów niemieckich – a jest ich podobno dwa miliony – nosi nazwę „Związek Praw Człowieka”. Mają swoją organizację, wydają swoje pisma, prowadzą rokowania z ministrem sprawiedliwości, uprawiają swoją politykę, oddając pokązną liczbę swoich głosów tym stronnictwom, które odno-



szą się życzliwie do ich sprawy. Złowrogi par. 175 musi upaść! – oto ich hasło bojowe. „Macie paragrafy o deprawacji nieletnich, o zgorszeniu publicznym, o nierządzie – powiadają: – to wystarczy; ale nie mieszajcie się do spraw ludzi dorosłych przy zamkniętych drzwiach”.

Ale nie o to mi tutaj chodzi. Są to rzeczy dość znane i nienależące do mnie. Chodzi mi o stronę literacką, psychologiczną. Przystudiowałem pisma, które mi przesłano. Mizerne to pod względem literackim, ale niezmiernie charakterystyczne. Czasem, gdy chodzi o poznanie duszy jakiegoś społeczeństwa, lepsze usługi oddaje literatura drugorzędna i trzeciorzędna niż literatura „świeczników”. Nie szukajmy duszy homoseksualnej u tego czy owego laureata Nobla, choćby skądinąd

uprawnionego do tego, aby ją reprezentować; szukajmy jej w tych skromnych kajecikach, przypominających najbardziej jakieś pisemka młodzieży gimnazjalnej.

W istocie, kiedy się przegląda te naiwne „czytanki” (mówię o piśmie Das Freundschftsblatt, bo jest ich kilka) trudno sobie uprzytomnić, że mamy do czynienia z „rozpustnikami”. Rozpusta! Z naszego brzegu oczywiście każdy homoseksualizm jest rozpustą; z ich brzegu – nie. Mogą oczywiście i tam istnieć wszystkie odcienie; i don Juani, i sentymentalni marzyciele; niemniej jednak znawcy twierdzą, że częściej może w homoseksualizmie spotyka się miłość sublimowaną platonicznie (nigdy imię Platona nie znalazło się bardziej na miejscu!) niż w normalnym życiu kobiet i mężczyzn. Większa tu jest ilość odcieni między

miłością a przyjaźnią, większa rola powinowactwa duchowego, większa możliwość dzielenia zajęć, upodobań, lektury, zainteresowań. Wspólna tajemnica, wspólne prześladowania, wspólna hańba, szczupłość wreszcie tego specjalnego społeczeństwa, konieczność ciągłego oczyszczania się z „fałszywych braci”, wszystko to sprzyja może rozwinięciu się pewnych cnót, lojalności, przyjaźni, braterstwa. Ale pozwólmy mówić im samym. W każdym numerze, oprócz jakiegoś artykułu, przeważnie skierowanego przeciw paragrafowi lub liczącego sympatyczne głosy uczonych – a jest ich coraz więcej – istnieje część literacka. Czytałem ją z uśmiechem i kiwałem głową: więc tak wygląda przy bliższym poznaniu owa osławiona rozpusta! Są tam nowelki o przyjaźni, są wierszyki god-

ne zbiorów dla dzieci, są nowelki na Boże Narodzenie i na dzień zaduszny... Posłuchajcie sami, streszczę kilka utworów.

Obrazek: W kąpielni. Wśród igraszek w pływalni dwaj młodzi ludzie obserwują się z daleka, ale żaden z nich nie śmie się zbliżyć. (Ta niepewność, to jedna z najbardziej nieznośnych rzeczy: w normalnych stosunkach, mężczyzna, widząc kobietę, wie, z kim ma do czynienia; tutaj nigdy nie wie, czy ten drugi należy do klanu, czy nie). Naraz, z pustoty, kąpiący się wrzucili jednego z nich z nienacka do wody: zanurzył się i – nie wypłynął. Drugi skacze, daje trzy razy nurka, wydobywa go, przywraca do zmysłów. I znów oczy ich spotykają się: „Tyś mi uratował życie?” – szepce ów ocalony. Prowadzi go do siebie do domu, przedstawia go rodzicom, którzy z rozczuleniem dziękują wybawcy – no i nie trzeba dodawać, że szczęście nie dało na siebie czekać.

Inna nowelka, bardziej dramatyczna. Dwaj przyjaciele. Młodszy przychodzi odwiedzić, jak zwykle czynił, starszego. Ale zamiast uśmiechu na ustach, zamiast gorącego pocałunku, zastaje chmurną twarz. Starszy dowiedział się o zdradzie; dowiedział się, że tamten ma od roku stosunek z dziewczyną (najhaniebniejsza zdrada, jakiej homoerota może się dopuścić!) i że chce się z nią żenić. Miażdży niewiernego płomienną tyradą: zdradził miłość, przyjaźń, braterstwo, sponiewierał wspomnienie ich świętych nocy! Wypędza go, po czym zostaje sam; mimo woli ściska w dłoni stalową lufę rewolweru. Ale otrząsa się. „Dla takiego szubrawca? Nigdy!” – tak rzekł i siadł do biurka do pracy. Tytuł noweli: Porachunek.

Chcecie, dla odmiany, poezji? Macie ją, w przekładzie prozą:

„Wyszedłem narwać róż, aby wonnym bukietem przystroić portret przyjaciela. I zdawało mi się, że każda róża na krzaku mówi: „I mnie także zerwij, dla kochanka,

dla przyjaciela, i mnie zerwij, i mnie!”... Koniec.(...)

To znów refleksja:

„Zazdrość często niszczy szczęście. Po ciężkich próbach, jeden wcześniej, inny później, każdy dochodzi do przeświadczenia, że lepiej jest pozwolić przyjacielowi na przelotną niewierność, niż go całkiem stracić. Wieczna miłość do grobu – to rzadka rzecz między ludźmi” – kończy melancholijnie ów rywal La Rochefoucaulda. (...)

Powiedzcie, czy wam to nie przypomina raczej Anhellego, niż którąkolwiek z ksiązek, którymi my, ludzie normalni, drażnimy swoją wyobraźnię? Bo z pewnością – jeśli spojrzeć na rzecz z tamtej strony – dałoby się odnaleźć sporo analogii między cierpieniami tych, którzy wyzuci są z narodowego bytu, a owych ludzi, którzy, od młodości dławieni w swoich najbardziej przyrodzonych pragnieniach i ukochaniach, hańbieni piętnem niewoli, gnący się pod jarzmem przemocy, wiodą z pewnością nieraz – kiedy się znajdują w serdecznym gronie – ciche, nocne, bolesne rozmowy. Mają i oni swoją martyrologię, aby tylko wymienić Oscara Wilde... I oni mają swoje księgi pielgrzymstwa; i oni spoglądali z nadzieją ku „wojnie ludów”, której jedyną rehabilitacją może być to, że zdarła maski z wielu kłamstw i fałszów, i że skruszyła wiele kajdanów. I wierzą, mimo prorocत्व dra Josepha Mayera, że przyjdzie wreszcie do zgody między większością a mniejszością, że kiedyś nie będzie ciemżycieli ani ciemżonych, i że przyszła ludzkość zaledwie będzie chciała wierzyć, aby mogło istnieć w XX w. to, co istnieje dotąd – przemoc człowieka nad człowiekiem. □

Ze zbioru: Boy-Żeleński,  
ZMYŚLY... ZMYŚLY...

Wydawnictwo CM, 2020 r.; za:  
BIBLIOTEKA BOYA, Warszawa 1932 r.

PIOTR AUGUSTYNEK

## HISTORIA TU I TERAZ

Uczenie o konfliktach zbrojnych podczas lekcji historii, albo zajęć z wiedzy o społeczeństwie, to dość niewdzięczne zadanie. Dlaczego?

Otóż żyjemy w czasach wszechwładzy mass-mediów, elektronicznego zapisu różnych treści, cyfrowej obróbki obrazu i wielu podobnych, genialnych wynalazków. Nie wystarczy barwnie opowiadać o wodzach, bitwach, nie wystarczy zasypać uczniów datami, cyframi, pokazać plansze czy reprodukcje obrazów. Uczniów to prędko znudzi, albo od samego początku nie będzie ciekawilo. Belferska narracja ginie w konfrontacji z multipleksowymi produktami, jest nijaka wobec wspaniałych elektronicznych efektów specjalnych. Dla przeciętnego ucznia prawdą nie jest to, co nauczyciel opowiada uczciwie, solidnie i prawdziwie. Lepiej jest popatrzeć na krwawą jatkę, na wydarzenia zupełnie nierealne. O! To jest prawdziwa wojna! A prawdziwie tocząca się kiedyś historia? Eee tam!

Tymczasem tak się nieszczęśliwie złożyło, że prawdziwa historia w postaci prawdziwej wojny składa wizytę naszym najbliższym sąsiadom – prawie nam samym. Krew, pożoga, trupy, setki tysięcy uchodźców, bezradne zrozpaczone dzieci – to dzieje się naprawdę. Tu i teraz. Młodzi ludzie to widzą. Reagują bardzo różnie. Od przerażenia aż po absolutną obojętność. Śledzą

(o ile w ogóle) przekazy medialne, portale społecznościowe. Ale czy rozumieją mechanizmy rządzące tą makabryczną rzeczywistością? Czy chcą się angażować, czy może myślą: „nie moja wojna, moja chata z kraja”?

I tu potrzeba nauczyciela – mistrza z prawdziwego zdarzenia. Takiego, który powinien w obliczu ukraińskiej tragedii (mimo tego, że „nie ma w programie”, „teraz robimy co innego” itp.) spróbować wraz z uczniami dokonać w miarę wartościowej analizy tego, co nas właśnie spotyka. Nas – całą Europę, bo tylko taki punkt widzenia ma sens.

Takie podejście do zagadnienia powinno uchronić nas przed ideologiczną aberracją, przed propagandą, a raczej przed propagandziarstwem. To trudne, wiem. Trudne, bo zapewne pojawi się konieczność wytłumaczenia zawilości polsko-ukraińskich relacji na przestrzeni przynajmniej ostatnich czterystu lat. Jeżeli jeszcze dołączy się do tego cały zestaw zajadłych krzywd i uprzedzeń, to szkolny historyk stanie przed sporym wyzwaniem. No, chyba, że mu się nie chce. Ja jednak wierzę w moich kolegów. Bo czy nie jest niepowtarzalną okazją śledzenia i komentowania na bieżąco „stawiania się” historii? Tu! I teraz! □

Piotr Augustynek

KAZIMIERZ PASENKIEWICZ

## ZIELONE MIASTO

Jak zaskakujące może być życie, jak okrutnie potrafi obchodzić się z naszą pamięcią – niech świadczy przytoczony poniżej fragment wspomnień prof. Kazimierza Pasenkiewicza. Autor serii wspomnień, tak chętnie czytanych przez naszych Odbiorców urodził się w Kijowie. Tym samym mieście, które podobnie jak cały naród ukraiński przeżywa boleśnie czas wojny. Czas, który wymusza na ludziach albo bohaterstwo albo zapadnięcie się w niebyt.

Red.

### Wstęp historyczny

Kijów jest niezwykłym miastem. Niezwykłym ze względu na burzliwą przeszłość, ze względu na swą żywotność, położenie geograficzne i malowniczość. Wielki udział w jego dziejach mają Polacy.

Miasto leży na przecięciu dwóch szlaków komunikacyjnych, łączących kraje i narody od tysięcy lat. Szlak północ-południe, zwany w kronice Nestora *Put` iz Wariega w Grieki* [Waregami nazywano szczerp Wikingów – red.], łączył północ Europy z Konstantynopolem. Drugi biegł od półwyspu Iberyjskiego przez Europę i Azję aż do morza chińskiego. Szlaki te do dziś pełnią swe dawne funkcje.

W pobliżu Kijowa, na południu, przebiega granica strefy leśnej i stepowej. Pas stepowy to rozległe równinne przestrzenie, teren wędrowek i pobytu plemion pasterskich, koczowników, ludów wędrujących. Stąd wyruszyli nasi przodkowie indoeuropejscy na podboje w Europie i Azji, od Renu aż do Indusu i Zatoki Perskiej. Nieśli oni podbitym narodom swoją organizację, język, strategię. Po nich pojawiali się na tych stepach i kolejno znikali Scytwie, Sarmaci, Goci, Hunowie, Chazarowie, Pieczyngowie, Połowcy, Tatarzy – wszyscy z głębi Azji.

W VII-VIII w. n.e. na północy od strony stepów, w dorzeczu środkowego Dnie-

pru, wyłoniły się z prasłowiańskich grup organizacje plemienne Słowian Wschodnich, Siewierian, Drewlan, Radymiczów, Polan i innych. Jedno z plemion wschodniosłowiańskich utworzyło w VIII w. załazek przyszłej państwowości – organizację plemienną z Kijowem jako siedzibą władzy książęcej. Możliwe, że płaciło ono daninę Chazarom.

Kijów jako gród słowiański powstał prawdopodobnie w VI w. n.e. Nestor przypisuje założenie grodu trzem braciom o niesłowiańskich imionach: Kij, Szczek i Choriw. Każdy z nich zbudował gród na jednej z trzech pobliskich gór. Tenże Nestor przytacza w *Powieści Dawnych Lat* inną legendę związaną z powstaniem Kijowa. Otóż Andrzej Apostoł płynąc w górę Dniepru przenocował na jego prawym brzegu. Rano, wskazując towarzyszący mu góry kijowskie, rzekł: „Czy widzicie góry te? Na nich rozbłyśnie błogosławieństwo Boże i liczne cerkwie zostaną tu zbudowane.” Pewny już przekaz mówi, że w IX wieku w Kijowie rządząli Waregowie Askold i Dir.

Oleg, książę nowogrodzki, opiekun młodego Igora, syna księcia Ruryka, płynąc Dnieprem na południe, zwałił książąt kijowskich na brzeg rzeki, zabił ich i przeniósł swą stolicę z Nowogrodu do Kijowa. Ta pierwsza walka o Kijów rozpoczęła



Żelazny most w Kijowie – lata 60

długi ich szereg, ciągnący się przez wieki. W X, XI i XII wiekach stolicą Rusi – Kijowem – władali liczni wielcy książęta. Najślawniejsi wśród nich byli: Włodzimierz (Święty), Jarosław Mądry i Włodzimierz Monomach. W tym okresie Kijów należał do największych miast w Europie. Stosunki dynastyczne i handlowe łączyły go prawie ze wszystkimi krajami europejskimi.

W 1240 roku Batu Chan zdobył Kijów i zniszczył go. Z upadku gospodarczego dźwignął się dopiero w XIX stuleciu. W roku 1362 Litwini po zwycięstwie nad Tatarami włączyli Kijów do swego państwa. Władali nim książęta Giedyminowicze i miejscowi. Wobec częstych najazdów tatarskich miasto przez wieki nie mogło się podnieść z upadku.

W roku 1569, zgodnie z postanowieniami Unii Lubelskiej, Kijów przypadł Polsce. Rządzili tam wojewodowie i miejscowi książęta, m.in. Glińscy. Ani władze litewskie, ani polskie nie potrafiły zorganizować w tym okresie należytej obrony miasta; było ono często zdobywane i palo-

ne przez Tatarów. Niezwykle jest wszakże to, że miasto, usytuowane w tak niebezpiecznym miejscu, po każdorazowym zniszczeniu uparcie wracało do życia.

W roku 1648 Bohdan Chmielnicki zdobywa Kijów; do Polski miasto już nigdy nie wraca. Natomiast napady tatarskie ustają, gdyż w końcu XVII w. potęga turecka zostaje obalona. Trzeba przyznać, że w okresie polskim Kijów przeżył lata stabilizacji i rozwoju kulturalnego. Wtedy powstaje słynna Akademia Mohylańska i poprzez Kijów kultura polska przenika do Rosji carskiej.

Po utracie Kijowa wpływy polskie i polskość w mieście zanikają. Dopiero po rozbiorach do Kijowa – połączonego znów z województwami Kijowskim i Braclawskim – wracają Polacy i polskość. Proces ten nasila się po założeniu Uniwersytetu św. Włodzimierza w Kijowie i po przeniesieniu do niego profesorów, bibliotek i pomocy naukowych z Liceum Krzemienieckiego i Uniwersytetu Wileńskiego. Polska kultura ponownie rozwija się w Kijowie.



Pomnik założycieli miasta

## TEREN MIASTA

Sądę, że jednym z powodów żywotności i stałego odradzenia się Kijowa – oprócz położenia geograficznego – było także ukształtowanie terenu, na którym miasto zbudowano. Kijów leży bowiem nad jedną z największych rzek Europy, na jej wysokim prawym brzegu. Zbudowano go na dwóch przedzielonych wąwozem płaskowyżach, spadających stromo lub tarasami do Dniepru. Dalej na północ góry odsuwają się od rzeki tworząc równinę. Nie była ona zalewana przez wiosenne powodzie i stanowiła dogodny teren dla przystani i portu. Północne z tych wzniesień nosi nazwę Starokijowskiej Góry, południowe – Peczerska; wąwozem między nimi biegnie główna ulica – Kreszczatyk. Równina nad Dnieprem nosi nazwę Padołu.

Lewy brzeg Dniepru jest rozległą niziną; na horyzoncie zamyka ją czerniejący w dali las czernihowski. Cała ta niziina była zalewana na wiosnę wodami rzeki tworząc szerokie – aż po horyzont – rozle-

wisko. Równina prawego brzegu zaś wdziera się w płaskowyż Góry Kijowskiej kilkanaście wąwozami; idealne miejsce dla wąskich ukrytych uliczek Padołu. Wzniesienie starokijowskie schodząc w równinę tworzy górzyste odnogi, naturalne pozycje obronne dla zamków i twierdz.

Z gór kijowskich wzrok obejmuje szerokie przestrzenie. Na pierwszym planie – wyspy i odnogi Dniepru (obecnie urządzone tam olbrzymi park z bardzo dużą plażą i przystaniami łodzi), na dalszym – łąki, a na horyzoncie – ciemny las. Za czasów mojego dzieciństwa Kijów otaczały duże kompleksy lasów, puszczy dębowych, na północy sosnowych. W lasach tych były liczne jeziora, źródła i strugi – idealne miejsce wycieczek, majówek, sportów wodnych i narciarstwa. Dojeżdżało się do nich szybko i wygodnie zamiejskimi tramwajami.

Największym kompleksem leśnym była Puszcza Wodica i las Gołosiejewski, który ciągnął się od przedmieścia Demijówki do Dniepru. Zbudowano tam trzy pustelnicze monastypy; ich białe dzwonnice wyrastały z wierzchołków gór ponad ciemną zielenią dębowego lasu. Wieczorami las rozbrzmiewał dźwiękami dalekich dzwonów.

Najbliżej miasta – Kadecki Gaj; w przeciwnym kierunku i dalej rozciągały się górzyste Lasy Syreckie, a w nich połączone strumieniami owalne jeziora. Był to rezerwat kwiatów i ptaków leśnych. Dokoła środkowego jeziora właściciel fantasta zbudował kilka antycznych altanek-świątyń, ale z drewna.

Na zachód od miasta wzdłuż szosy Brzeskiej rósł las sosnowy – Swiato-szyn. Był on siedliskiem tak zwanych dacz – letnich domków zamożnych Kijowian. I wreszcie po drugiej stronie Dniepru na piaszczystych pagórkach zieleniał bór sosnowy – Darnica.

Goszcząc w Kijowie po 40 latach nie ujrzałem już wielu z tych lasów. Niektóre nie przeżyły wojen, inne ustąpiły część swej przestrzeni nowym osiedlom – satelitom.

Największe wszakże przetrwały. Miasto za to zazieleniło się jeszcze bardziej. Nowe olbrzymie parki, nowe ulice zacienione drzewami.

Kijów był otoczony letniskami. Istnieją one nadal i rozbudowują się: Motowidlówka, Borodzianka, Irpień, Tripolis; a także – opisywane przez Brzechwę i Iwaszkiewicza – Bojarka.

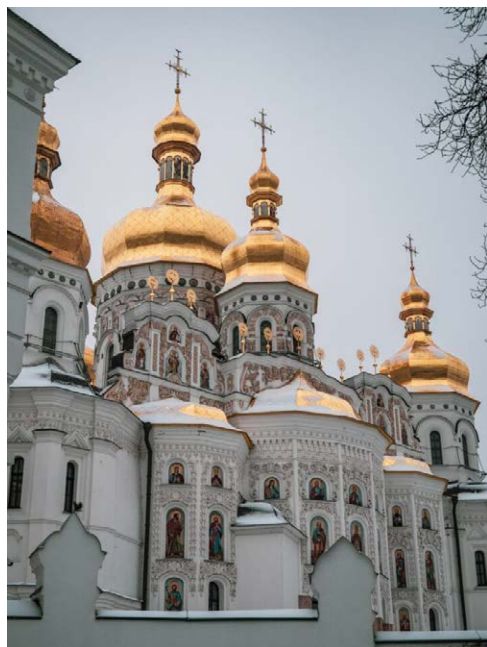
Upiększeniem parków i ulic Kijowa są akacje, topole i kasztany. Ulice, latem cieniste, wznoszą się i opadają, zbaczają w prawo i w lewo, lub serpentynami schodzą w dół. Najdłużej biegnące poziomo i niezbaczające ulice to Kreszczatyk i Włodzimierska.

Kijów zabudowano luźno i szeroko, nie szczędząc przestrzeni. Ulice, wybiegając promieniście ze starego miasta, zostawiały dużo miejsca dla podwórek, często tarasowych, zawsze zadrzewionych. Domy na tych ulicach różne wiekiem i stylem były poprzedzielane ogródkami lub drzewami. Jednostajność nie nużyła, nie stępiała wrazliwość.

Kijów współczesny, oglądany z tarasu hotelu Moskwa lub innych wysokich gmachów jest jasny, falisty, poprzątkany zielenią ogrodów. Zimą place, wzniesienia i zaśnieżone skwery urozmaicają tkaninę ulic. Klimat jest tu na wpół kontynentalny. Zimy są śnieżne, wiosny kwieciste i nagłe, letnie ulewy – po których ulice zamieniają się w górskie potoki, a powietrze w „śnieżne wino” – gwałtowne. Jestem przekonany, że właśnie teren, klimat i nieodparty urok Kijowa, bujny, bogaty kraj, z którego wyrasta, są tym eliksirem, który przywracał mu życie.

## LUDZIE

Życie i dzieje miast są różne. Dawne miasta, o ile nie przekształciły się we współczesne kolosy – potworne zbiegowiska oszołomionych ludzi – mają swoją osobowość. Miały własne oblicze: Lwów, Warszawa przed wojną, dawny Paryż i Rzym;



Złote kopuły na cerkwi

miął je również przedwojenny Kijów. W ostatnich dziesięcioleciach zeszłego stulecia [Autor pisał to w XX w. – red.] przeżywał on swe przebudzenie po wiekach uśpienia. Był wtedy młodzieńczy, prężny i piękny. Gwałtownie rósł i bogacił się. Po powstaniu styczniowym liczył około 65 tys. mieszkańców, a przed pierwszą wojną ok. 500 tys. Było to miasto wielonarodowe. Populacje Żydów, Polaków, Ukraińców i Rosjan wzrastały w nim równomiernie. Poza tymi narodowościami wśród mieszkańców liczni byli Niemcy, Czesi, Karaimi, Łotyże. Każda z narodowości miała swoje kluby i stowarzyszenia, tworzyła własne środowiska. Zwłaszcza Polacy, stanowiący 10 procent ludności, i Żydzi.

Polacy kijowscy to w przeważającej liczbie wolne zawody, ziemiaństwo, przemysłowcy, inteligencja pracująca; Żydzi to kupcy, rzemieślnicy, przemysłowcy. Miejsca publiczne, ulice, były wielojęzyczne, z przewagą języka rosyjskiego. Inteligencja ukraińska dopiero się tworzyła. Kijów był, jak to się mówi banalnie, tygłem, w którym z tej różnaitości powstawała żywa, barw-

na, różnorodna społeczność. Tworzył się powoli przeciętny typ kijowianina.

Zarówno osobowość, jak i organizm człowieka kształtują się we wczesnych latach życia. Wpływa na ten rozwój wiele czynników: klimat, nasłonecznienie, krajobraz, zdrowotność i estetyka mieszkania; ale także rodzina, szkoła, ulica i podwórko. Różne miasta, podobnie jak różne środowiska, stwarzają lepsze lub gorsze warunki rozwoju osobowości. W jakich warunkach wyrastały w Kijowie nowe pokolenia?

Byliśmy w tamtych czasach typową rodziną kijowską. Mieszkaliśmy na niskim parterze trzypiętrowej oficyny dużej posesji, której frontowe domy wychodziły na ulicę Podwalną; przed wiekami ciągnęły się wzdłuż niej miejskie wały. Co dzień na podwórku spotykaliśmy się z dziećmi rosyjskimi, żydowskimi, niemieckimi i jednym Czechem. Siedmioro z tych dzieci było Polakami. Na podwórku mówiliśmy po rosyjsku. Pierwsze kontakty podwórkowe nie były przyjazne, zwłaszcza między dziećmi różnych narodowości; wyśmiewano akcenty, zachowanie się i imiona przybyłych. Po pewnym czasie następowała znajomość i nowi byli włączani do zabaw, walk, sportu i wypraw. Ściśle przestrzegano zasad wspólnoty, ustalonych przez dawne pokolenia; a więc obyczajów, postaw, ocen, obiegowych haseł i wypowiedzi. Dzieci rosnąc w gromadzie przejmowały obyczaje starszej młodzieży, podwórkową rycerskość i honor.

Później przychodził okres romantyczny: sympatii, przyjaźni, rywalizacji, miłości. Pojawił się krokiet, serso, diabolo, gry towarzyskie. W tym okresie obowiązywała już pewna kultura i znajomość literatury. Szkołą koleżeństwa, solidarności, ale jednocześnie szkołą obowiązków, bezdusności i biurokracji, była rządowa szkoła średnia, wzorowana na pruskiej. Była ona przygotowaniem do przyszłego życia w Rosji carskiej.

Zwykle podwórko opuszczało się w wyższych klasach szkoły średniej. Życie naszego podwórka było przedłużone. Stało się to tak: jeden z frontowych domów został wynajęty przez Naumenkę na ekskluzywną szkołę prywatną, na wzór szkół angielskich. Największy ogród zamieniono na boisko sportowe. Szkoła korzystała z niego do godziny 3, a później – wszechwładnie podwórko. Organizowaliśmy zawody lekkoatletyczne (z przewagą biegów i skoków), tu też powstała pierwsza w Kijowie – już w 1910 roku – drużyna podwórkowa. Duże podwórka były jedną z charakterystycznych cech Kijowa.

Wspaniałe tereny podmiejskie – rzeki, góry, lasy – skłaniały do majówek i wycieczek. Liczne rodziny spędzały wolne dni, a było ich dużo, za miastem lub w miejskich parkach, które niewiele się różniły od zwykłych lasów. Niezwykłą atrakcją był Dniepr, jego rozlewiska i odnogi. Olbrzymie przestronie dla wiosłarzy, rybaków, pływaków. Zimą górzyste tereny były atrakcją dla narciarzy, było też dużo ślizgawek. Powszechne było saneczkowanie z wykorzystaniem stromizn Kijowa, z udziałem najmłodszych dzieci i młodzieży. Jedną z moich podwórkowych miłości, 13 letnia Oła Sidorowa, zjeżdżając na saneczkach z ulicy Nestrowskiej (obecnie Iwana Franko), zabiła się wpadłszy na słup. Jarosław Iwaszkiewicz wspomina w swoim pamiętniku o wieczornym saneczkowaniu dorosłych na ulicach miasta.

Odpowiednio do zamiłowań mieszkańców miasta Kijów był połączony z okolicznymi kompleksami leśnymi siecią dalekobieźnych, szybkich tramwajów i komunikacją wodną – statkami. Powrót wieczorem do miasta – z bukietami kwiatów – tramwajami, a zwłaszcza statkiem, był wielką atrakcją. Już z daleka widać było na ciemnym tle gór rozświetlony lampami elektrycznymi krzyż.

Charakterystyczną cechą Kijowa był brak zadymionych i brudnych obrzeży, ty-

powych dla większości ówczesnych miast. Przemysłowo-handlowa dzielnica – Padół – ograniczona była Dnieprem i stromiznami gór; nie było więc tam miejsca na przedmieścia. Miasto kończyło się parkiem, trawiastymi ugorami bądź osiedlami o na wpół wiejskim charakterze; dużo drzew, zieleni, ogródków. Niektóre z nich przetrwały do dziś. Tam też przeważnie mieszkali robotnicy. Osiedla te: Sołomianka, Kurieniowka, Demijowka, Szulawka, Łukjanówka i wiele innych zachowały tradycje odrębności. Wyrazem tego były walki na pięści, zgodnie z obowiązującymi obyczajami i rytuałem. Za czasów mojej młodości zastąpiły je w pewnej mierze mecze piłki nożnej, w których często brałem udział.

Kijów był miastem muzykalnym. Rozbrzmiewały w nim pieśni podwórkowych śpiewaków, ukraińskie śpiewy na wycieczkach zamiejskich i na wieczorkach; liczne były też amatorskie chóry szkolne. Wysoko ceniona i popularna była opera. Ten charakter miasto zachowało do dziś. Największą atrakcją przedwojennych lat były koncerty orkiestry operowej; muzyka rozbrzmiewała w letnie pogodne noce na jednym z tarasów dniewprowskich gór, na tle olbrzymich drzew, nad otchłanią doliny.

W czasie moich powojennych odwiedzin Kijowa orkiestra operowa już nie grała. Natomiast zbudowano na tych górach wiele konch koncertowych, gdzie popisują się różnorodne zespoły amatorskie.

Prowincjonalną cechą Kijowa (do niedawna miasta prowincjonalnego) był zwyczaj wieczornych spacerów po Kreszczatyku, po jednym z jego chodników; spacerowano od Placu Ratuszowego do Bulwaru Bibikowskiego (obecnie Bulwar Tarasa Szewczenki) i z powrotem. Tu spotykano się z kolegami, załatwiano bieżące sprawy, ale przede wszystkim odbywał się przegląd panien i podrywanie. Było co oglądać: dużo piękności, dużo różnorodnych typów: Ukrainki, Żydówki, Rosjanki, rzadziej Gruzinki, Ormianki. Drugą taką

cechą były tzw. *guliania* – zabawy. Urządzano je w parkach lub na statkach. Muzyka, różne gry, strzelnice, loterie. Wszystko banalnie pospolite, wyreżyserowane. We mnie budziły nudę i odrazę.

Zupełnie inny żywiołowy i dynamiczny charakter miały często opisywane kijowskie kontrakty (targi). Wiele wrzawy, egzotyczni kupcy; różnorodność towarów, hałaśliwe zabawki. Wszystko to rozłożone i pokazane w domu kontraktowym, na licznych straganach i stoiskach. Bardzo dużo wschodnich słodczy; atrakcje z całej Rosji. Różnorodność towarzyszących imprez. Wielki zjazd kupców, kramarzy, agentów, przemysłowców i ziemian.

Należy też wspomnieć o osobliwości nie tylko Kijowa, ale też innych miast rosyjskich, mianowicie o dodatkowych funkcjach podwórek, na które wychodziły kuchenne klatki schodowe. Podwórka to nie tylko przestrzeń między zabudowaniami, nie tylko teren zabaw i spotkań dzieci. To estrada dla licznych śpiewaków, akrobatów, sztukmistrzów – wykolejeńców lub bankrutów scen teatralnych i cyrkowych, których nazywano *artysty pagarielawa tieatra*. Byli też liczni kataryniarze. Bardzo popularne były parawanowe teatrzyki lalek (*pietruszki*).

Podwórka to także nieustający rynek domokrażców. Był ich legion. Domokrażcy nie wchodzili do domów – ogłaszali swe przybycie na podwórko swoistym dla każdej branży zawołaniem. Jedni sprzedawali owoce, obwarzanki, lody, pierożki, węgiel drzewny. Inni kupowali od mieszkańców wszystko, zwłaszcza używaną odzież i buty. Rzemiosło reprezentowali kotlarze, pantoflarze, szczotkarze. Każda branża była domeną określonej narodowości. Obwarzanki sprzedawali tzw. *kapaci*. Cyganie byli kotlarzami i druciarzami. Stare rzemieślnicze rzemiosło było domeną Tatarów; owoce – Ukrainek. O sprzedaż lodów konkurowały wszystkie narody.

Odbiorcami tych wartości materialnych i duchowych były pokojówki, kucharki, a przede wszystkim dzieci. Czasami za takimi zespołami ciągnęli od posesji do posesji mali entuzjaści prezentowanych kunsztów.

Osobowość i upodobania kijowian kształtowały szerokie, jasne i słoneczne przestrzenie gór, parków, ulic, a także współzycie kilku narodowości i szybko rosnące młode, dynamiczne miasto. Były to lata, gdy sport zaczynał opanowywać świat, gdy technika jeszcze nie odgradziła ludzi od przyrody, ale już skracala przestrzeń i czas; okres, w którym nauka i sztuka budziły entuzjazm.

Młodość miasta była równie piękna i niepowtarzalna jak młodość człowieka. Kijów skumulował i zagęścił swoiste cechy Ukraińców, takie jak optymizm, śpiew, liryka, szyderstwo i śmiech. Z Ukrainy wywodzili się satyrycy i humoryści rosyjscy: Gogol, Czechow, Awerczenko, Zoszczenko i inni. W licznych przedwojennych teatrzykach, zwanych miniaturami, największym powodzeniem cieszyli się szydercy-opowiadacze. Przedmiotem ironii byli chłopci ukraińscy, Żydzi, Ormianie, wydarzenia polityczne, niedomagania społeczne itp. W późniejszym życiu słyszałem góralskich humorystów Wyrwicza i Kurowskiego – przegraliby w porównaniu z Rudenką, Jużnym i innymi. Niektórzy z nich w czasie rewolucji za swe dowcipy zapłacili życiem. Rewolucja nie znosiła ironii i humoru.

Świętni też byli estradowi śpiewacy wierszy lirycznych wielkich poetów, cygańskich romansów i pieśni ludowych. Niektóre z nich śpiewa się do dzisiaj, np. *Oczy czornyje*, *Wiałcewoj*, *Liłowyj Niegr* Wierłyńskiego, romanse Smirnowa i inne.

Kijów przedwojenny odchodząc w przeszłość przekazał pokoleniom przyszłym wybitnych autorów i poetów współżyjących w Kijowie narodowości. Odegrali oni wybitną rolę w powojennej literaturze swych krajów. Byli to: Maksym Rylski, Ja-

rosław Iwaszkiewicz, Konstantin Paustowski i może jeszcze poeta żydowskiego proletariatu i wojen rewolucji – Izaak Babel.

Co – prócz wspomnień – zostało z dawnego Kijowa? Te same wzgórza, te same w starym mieście ulice, te same domy, parki i ogrody. Jeszcze więcej zieleni, drzew i kwiatów latem. Dawny Cesariski Ogród (dziś im. Lenińskiego Komсомоłu [obecnie Plac Europejski? – red.]) przekształcono w park kultury, pozbawiając go dawnego uroku. Natomiast połączono wszystkie parki na dniewprowskich górach w jeden olbrzymi unikalny zielony masyw. Z centrum usunięto tramwaje i ciężarówki, tworząc dla nich sieć nowych okrężnych arterii. Miasto unowocześniło się tracąc więc z niedawną przeszłością: ciche, zadrzewione, długie ulice zabudowane parterowymi domkami. Były to dawne: Turgieniowska, Zylańska, Marini-Błagowieszczeńska, Łukianowska i inne. Znikły liczne złotogłowe cerkwie – pozostało ich zaledwie kilka. Z dwóch katolickich kościołów jeden – kościół św. Aleksandra – zamieniono w planetarium, a drugi – św. Mikołaja – zabito deskami. Piękną, w mauretańskim stylu karaimską bożnicę zamieniono w kino.

W Międzygórzcu, 20 km powyżej Kijowa, wybudowano olbrzymią zaporę. Powstało tzw. Morze Kijowskie, ale rzeka pod miastem zmarniała. Widok z wyżyn kijowskich parków nie jest już tak urzekający. W dole, za Dnieprem, zazielenił się wprawdzie nowy park z szeroką plażą, ale dalej na prawo białe płaszczyny osiedla Darnicy zajęły miejsce dawnych uroczysk.

Kijów został od swych podmiejskich lasów i wzgórz odgradzony przedmieściami. Duża część dawnych lasów została zabudowana. Zabrakło przestrzeni dla bezpośrednich zamiejskich spacerów, oddaliła się przestrzeń wycieczek, majówek, całodziennego wypoczynku. Kijów wkroczył na drogę, którą obecnie zdąża „cywilizowana ludzkość”: coraz więcej techniki, coraz ła-

twiej, coraz wygodniej; co prawda podąża wolniej niż Zachód, i też nie bez refleksji.

W każdym pokoleniu starzy ludzie twierdzą, że za ich młodości świat był piękniejszy. To nie zawsze złudzenie i aberracja starości, jak się powszechnie sądzi. Świat ludzki nieuchronnie oddala się od natury, która go stworzyła, od tężyzny, siły, bohaterstwa. Kształtuje on nowego człowieka według innego modelu, niż to czyniła przyroda. Największym zmianom uległ przeciętny mieszkaniec Kijowa. Dawny kijowianin beztroski, nieskrępowany, wierny obyczajom ulicy, amator uroczystości religijnych, parad wojskowych, pędzących konnych straży pożarnych, wolno kroczących konduktów pogrzebowych. Kijowianin często świętujący, długo śpiący, najczęściej ufny i pogodny – minął bezpowrotnie.

Mieszkańcy obecnego Kijowa to ludzie, którzy przeżyli lata rewolucji i wojen. Zaprawieni w trudach i niedostatkach są bardzo zdyscyplinowani, sprawni, szybko orientujący się w sytuacjach, są zaradni. Po dawnemu miłują miasto, rzekę i sporty.

Emeryci ciepłe dni i wieczory spędzają w parkach na czytaniu, grze w szachy, rozmowach i kontemplacji. Nazywają ich *starożyły*. Dzieci mają dużo ogródków jordanowskich (*dietskije sady*). Miniogródki zakładane są także na placykach, w większych posesjach, gdzie dzieci są pilnowane przez niepracujące kobiety. Najlepszym, co jest w Kijowie, to młodzież: dzielna, uprzejma, towarzyska i pomocna. Jest ona gwarancją pomysłnej przyszłości miasta. □



### NOMEN EST OMEN

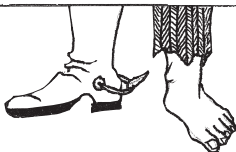
W czasie pobytu w Nowym Jorku wybitny kompozytor Igor Strawiński wsiadł do taksówki, której właściciel – jak wynikało z wiszącej w wozie karty – nosił jego nazwisko.

- Czy jest pan spokrewniony z kompozytorem Strawińskim? – zapytał kierowcę.

- Więc istnieje kompozytor o tym samym nazwisku? – zdziwił się kierowca.

I po chwili dodał:

- Strawiński, to nazwisko mojego szefa, Ja z muzyką nie mam nic wspólnego, jestem Puccini...



BOGUMIŁ M. WOŹNIAKOWSKI

## POLSKIE WOLNOMULARSTWO PO ROKU 1989

Współczesne polskie wolnomularstwo dzieli się zasadniczo na dwa nurty: anglosaski (zwany „regularnym”) i romański (adogmatyczny, zwany „nieregularnym”). Oba nurty występują w wolnomularstwie światowym od drugiej połowy lat siedemdziesiątych XIX w.

**Nurt anglosaski** reprezentują loże skupione w Wielkiej Loży Narodowej Polski (obowiązuje tu ściśle przestrzegany nakaz terytorialny, określający że wszystkie loże krajowe muszą uznawać zwierzchnictwo jednej obediencji, a ta zwierzchnictwo – jedynie ideowe – Wielkiej Zjednoczonej Loży Anglii). Do łóż WLNP mogą być przyjmowani wyłącznie mężczyźni deklarujący wiarę w Istotę Wyższą, określaną „Budownikiem”, „Architektem”, lub „Budowniczym Świata”.

**Nurt romański**, bardziej liberalny, demokratyczny i w większości mieszany (przyjmujący na równych zasadach zarówno mężczyzn, jak i kobiety) reprezentują obediencje lub samodzielne loże, będące przedstawicielstwami struktur międzynarodowych (Federacja Polska Droit Humain, loże podległe Wielkiej Loży Kultur i Duchowości, Wielkiej Żeńskiej Loży Francji czy Wielkiemu Wschodowi Francji) lub obediencje organizacyjnie polskie (Wielki Wschód Polski).

Wchodząc na polski grunt Wielki Wschód Francji (Grand Orient de France – GOdF), najprawdopodobniej nie wiedział o funkcjonującej w konspiracji Loży Kopernik (o lożach wolnomularskich przed 1989 pisałem w poprzednim numerze FMW).

Wiosną 1990 przybył do Polski jego przedstawiciel Didier Sniadach w celu rozoznania się w sytuacji oraz ewentualnego pozyskania kandydatów do inicjacji. Wywiad udzielony Olgierdowi Budrewiczowi, który ukazał się w nr 109/1990 sobotnio-niedzielnego „Życia Warszawy” można uznać za pierwszą oficjalną publikację w polskiej prasie, zawierającą informacje o odradzającym się ruchu wolnomularskim w Polsce.

Kilkanaście tygodni później (na przełomie lipca i sierpnia) Sniadach ponownie przyjechał, tym razem w towarzystwie Alaina Marvilla, członka kierownictwa GOdF. „Gazeta Wyborcza” w nr 180/1990 r. wydrukowała płatne ogłoszenie, które informowało, że *„francuscy wolnomularze zapraszają na spotkanie informacyjne 9 VIII 1990 r. do Klubu Lekarza w Warszawie”*. W trakcie tego spotkania, w którym uczestniczyło ok. 100 osób, wygłoszono referat o wolnomularstwie oraz rozdano trochę materiałów informacyjnych w języku francuskim (w tym publikację poświęconą Wielkiej Żeńskiej Loży Francji, samodzielnej centrali, współpracującej z francuskim Wielkim Wschodem). W trakcie zadawania pytań, obecny na spotkaniu Tadeusz Gliwic (1907-1994), ówczesny przewodniczący warszawskiej loży Kopernik, oczywiście nie mówiąc kim jest, poprosił o wyjaśnienie, dlaczego przybysze prowadzą działalność agitacyjną bez porozumienia z paryską lożą polską. Odpowiedź, którą otrzymał, była krótka, niewyraźna i praktycznie niczego niewyjaśniająca.

W efekcie tego spotkania w grudniu 1990 przedstawiciele paryskiej loży „Victor Schoelcher” dokonali w Warszawie (w pałacyku myśliwskim w Łazienkach) inicjacji kilku osób, które to w kwietniu 1991 utworzyły pierwszy romański warsztat w Polsce „Wolność Przywrócona”; choć tak naprawdę to pierwszym polskim romańskim warsztatem była Loża „Nadzieja”, utworzona w listopadzie 1990 w Lille we Francji, przy pomocy tamtejszej loży „L'Esperance”, w roku następnym przeniesiona do Warszawy. Z niej zrodziły się w kolejnych latach loże: „Jedność” w Katowicach (1992) oraz „Tolerancja” w Mikołowie (1994). W Krakowie w październiku 1992 miała miejsce instalacja loży „Gabriel Narutowicz”. Z kolei z loży „Wolność Przywrócona” zrodziły się warszawskie loże „Trzej Bracia” (maj 1993) oraz „Europa” (marzec 1994).

W pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych w Polsce przebywali parokrotnie z wizytą ważni reprezentanci Wielkiego Wschodu Francji, organizując konferencje prasowe. W jednej z takich konferencji, która miała miejsce w marcu 1993 w krakowskiej galerii-kawiarni Krzysztofora, z udziałem Jacques'a Orefice'a, Zastępcy Wielkiego Mistrza GOdF, uczestniczył (incognito) piszący te słowa.

Intensywna działalność przedstawicieli Wielkiego Wschodu Francji, oraz świeżo pozyskanych polskich adeptów, doprowadziła do powołania w lipcu 1997 samodzielnej obediencji masonerii nurtu liberalnego i adogmatycznego – Wielkiego Wschodu Polski (w listopadzie 1997 WWP został zarejestrowany jako stowarzyszenie w warszawskim Sądzie Wojewódzkim). Obediencję stworzyło sześć wymienionych wyżej łóż: czterech w Warszawie, jednej w Katowicach i jednej w Mikołowie.

Natomiast krakowska loża „Gabriel Narutowicz” postanowiła pozostać w strukturach Wielkiego Wschodu Francji.



Wielka Loża Kultur i Duchowości

Od 2008 do łóż Wielkiego Wschodu Polski mogą być przyjmowane kobiety; od 2017 dotyczy to również loży „Gabriel Narutowicz”.

Pierwszym (w latach 1997-2002) Wielkim Mistrzem WWP został Andrzej Rusław Nowicki (1919-2011), filozof kultury, historyk filozofii i ateizmu, specjalista z zakresu filozofii włoskiego oświecenia, religioznawca a także współzałożyciel i prezes Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli (1957-1969), Polskiego Towarzystwa Religioznawczego oraz założyciel i redaktor naczelny pisma „Euhemer”.

W okresie tej swoistej ekspansji wolnomularstwa liberalnego istniejąca tu loża „Kopernik” uaktywniła się. Nastąpiło to po pewnym kryzysie, wynikającym z faktu, że po wyborach czerwcowych 1989 część jej członków włączyła się w życie polityczne, a niektórzy całkowicie wycofali się z prac lożowych, tłumacząc, iż dotychczasowa działalność interesowała ich, póki była ściśle konspiracyjna i opozycyjna.

Uzgodniono z paryskim „Kopernikiem”, że ten poinformuje świat wolnomularski o istniejącym od 1961 warszawskim warsztacie. W sprawach wewnętrznych zrezygnowano z ograniczeń ilościowych w przyjmowaniu do wolnomularstwa oraz zaczęto stosować zasady pełnej obrzędowości, co wymagało często ponownego

uczenia się całej rytualistyki i przyswajania sobie świadomości, iż jest ona integralną częścią „sztuki królewskiej”. Nie zdecydowano się jednak jeszcze prowadzić działań w kierunku odtworzenia krajowej struktury organizacyjnej.

Przełom 1989/1990 to czas, kiedy w regionie, przy pomocy „regularnych” central krajów zachodnich, wznawiały działalność Wielkie Łoże Narodowe (grudzień 1989 Budapeszt, czerwiec 1990 Belgrad, listopad 1990 Praga). W ramach swego „podziału pracy” nad odbudową łóż regularnych opieka na Polskę przypadła Wielkiemu Wschodowi Włoch (podobnie jak to miało miejsce w 1920). Przedstawiciele tej włoskiej obediencji usilnie zachęcali warszawskiego „Kopernika” do obudzenia przynajmniej jeszcze dwóch łóż, tak, by móc reaktywować Wielką Łożę.

Pod wpływem tej sugestii (i jak należy mniemać – w odpowiedzi na ekspansję masonerii liberalnej) z Łoży „Kopernik” w grudniu 1991 wyłoniła się Łoża „Łukasiński” w Warszawie i „Przesąd Zwyciężony” w Krakowie. Owe trzy placówki w tym samym miesiącu powzięły uchwałę powołującą do życia Wielką Łożę Narodową Polski (w lutym 1993 wpisana do rejestru stowarzyszeń przez Sąd Wojewódzki w Warszawie). Jej pierwszym Wielkim Mistrzem (1991-1994) został wspomniany już wielokrotnie wolnomularz starej daty Tadeusz Gliwic.

O tym fakcie nie poinformowano jednak mediów, zawiadomiono tylko europejskie i amerykańskie „regularne” obediencje. Dopiero w następnym roku, na początku września 1992, w pałacu w Ciężeniu koło Poznania (ówczesnej siedzibie Samodzielnej Sekcji Zbiorów Masońskich Biblioteki Uniwersytetu Adama Mickiewicza), z udziałem delegacji zagranicznych (Włoch, Francji, Czechosłowacji), odbyło się pierwsze uroczyste posiedzenie WLNP. Z tym posiedzeniem wiąże się ważne wydarzenie medialne – w dniu 6.09.1992

w głównym wydaniu „Wiadomości TV” wystąpił Tadeusz Gliwic, informując widzów o wskrzeszeniu Wielkiej Łoży. Po nim zabrał głos Jan Winczakiewicz (1921-2012), jej ówczesny Wielki Ekspert i wielokrotny przewodniczący paryskiej Łoży „Kopernik”. Jego wystąpienie skoncentrowane było na omówieniu współczesnych stosunków pomiędzy kościołem katolickim a wolnomularstwem. Było to pierwsze publiczne oficjalne wystąpienie przedstawicieli „Sztuki Królewskiej” w Polsce po drugiej wojnie światowej.

Zwiążanie się WLNP z wolnomularstwem „regularnym” skomplikowało funkcjonowanie paryskiej Łoży „Kopernik”. Jej niektórzy członkowie aktywnie włączyli się do prac przy reaktywacji WLNP, choć ona sama od kilkadziesiąt lat wchodziła w skład „liberalnego” Wielkiego Wschodu Francji. Dlatego zdecydowano zmienić podporządkowanie organizacyjne i wejść w skład Wielkiej Łoży Narodowej Francuskiej – nastąpiło to jesienią 1992.

Również na początku lat dziewięćdziesiątych powrócił do Polski obrządek mieszany „Le Droit Humain”. W roku 1992 w Lille we Francji powstała polska Łoża „Pierre et Marie Curie”. Łoża składała się przede wszystkim z osób polskiego pochodzenia, zamieszkujących na północy Francji; w lipcu przeniesiona została do Warszawy. W listopadzie 1995 powstała Łoża „Orzeł Biały”, początkowo w Toruniu, a następnie w Katowicach, w 1997 „Spirala” w Warszawie (Łoża Doskonałości – pracująca w wyższych stopniach wtajemniczenia od 4 do 14), w 1998 „Rencontre Fraternelle” (umożliwiająca afiliowanie przebywających czasowo w Polsce obcokrajowców, głównie francuskojęzycznych) oraz „Pod Ułem” w Toruniu; a w 1999 „Konstytucja 3 Maja” w Warszawie. W 1997 roku powołana została **Jurysdykcja Polska Międzynarodowego Mieszanego Zakonu Wolnomularskiego „Le Droit Humain”**, również zarejestrowana w Sądzie Woje-

wódzkim w Warszawie jako stowarzyszenie. We wrześniu 2001 roku Jurysdykcja przekształcona została w niezależną **Federację Polską**; jej uroczysta inauguracja odbyła się w lutym 2002.

Pierwszym Prezydentem (1998-2006) Jurysdykcji, a następnie Federacji, został Cezary Leżeński (1930-2006) – publicysta, dziennikarz. W latach 1969-1981 redaktor naczelny „Kuriera Polskiego”, w latach dziewięćdziesiątych założyciel i redaktor naczelny miesięcznika „Poland Today”; literat, autor książek o tematyce wojskowej, literatury faktu, literatury pięknej oraz dla dzieci i młodzieży, działacz społeczny. Był Kanclerzem Kapituły Orderu Uśmiechu 1976-1981 i Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu, od 1992 do śmierci.

Ostatnia dekada XX w. to również czas, kiedy do Polski zaczęło przenikać samodzielne wolnomularstwo kobiece. Tutaj ogromną rolę odegrała Ewa Jaśkowska, Polka na stałe mieszkająca we Francji, masonka od 1987, członkini paryskiej loży „Róża Wiatrów”, należącej do Wielkiej Żeńskiej Loży Francji. Na początku lat dziewięćdziesiątych przybyła do Warszawy z misją nawiązania kontaktów i umożliwienia zainteresowanym inicjacji masonskiej. W 1993 do „Róża Wiatrów” zostały przyjęte pierwsze dwie Polki z kraju.

W grudniu 1998 w Warszawie powstał Trójkąt (najmniejsza struktura wolnomularska, którą może utworzyć trzech wolnomularzy, z których przynajmniej jeden jest w stopniu mistrza), który w listopadzie 2000 przekształcił się w samodzielną, kobiecą polską lożę „Prometea”. Jej pierwszą mistrzynią (przewodniczącą) w latach 2000-2002 była inicjatorka żeńskiej masonerii, wspomniana wyżej Ewa Jaśkowska. Druga loża kobieca – „Gaja Aeterna” – powstała dziesięć lat później, w listopadzie 2010. Obie pracują w strukturach Wielkiej Żeńskiej Loży Francji.

Najbardziej znaną polską masonką jest dr Mirosława Dołęgowska-Wysocka. To



Federacja Droit Humain

właśnie ona była tą jedną z dwu pierwszych Polek znad Wisły, zaprzysiężonych w Paryżu w roku 1993. W następnych latach pełniła różne funkcje w kobiecych lożach, m.in. w latach 2010-2013 była przewodniczącą „Prometei”. Jest doktorem nauk politycznych, dziennikarką i publicystką, autorką kilku książek (m.in. *Poboyowiska* – wyd. I 1992, II rozszerzone 2016, poświęconej Tadeuszowi Boyowi-Żeleńskiemu); była redaktorką naczelną i wydawczynią „Gazety Ubezpieczeniowej” (2004-2020) oraz zastępcą redaktora naczelnego (1993-2016) i redaktorem naczelnym (2016-2018) „Wolnomularza Polskiego” – pisma poświęconego masonerii, ukazującego się z różną częstotliwością w latach 1993-2018. Od 2010 prowadzi blog internetowy „Aszera – Żona Pana Boga”, poświęcony nie tylko sprawom masonskim, ale również przemyśleniom dotyczącym miejsca i roli kobiety w czasach biblijnych i starożytnych.

Warto również wspomnieć o innej pionierce kobiecego wolnomularstwa – Małgorzacie Misiunie (1945-2020), która była z wykształcenia socjologiem, doktorem nauk społecznych. Inicjowana jako jedna z pierwszych Polek w paryskiej loży „Róża Wiatrów” w 1996. W 1998 członkini Trójkąta wolnomularskiego, a w 2000 jedna z założycielek loży Prometea (mistrzyni 2004-2008) jak też inicjatorka w 2010 drugiej kobiecej loży Gai Aeterny (jej mistrzyni 2010-2013).

W połowie lat dziewięćdziesiątych miała miejsce również próba odrodzenia łóż podległych niemieckiej obediencji. W czerwcu 1993 z inspiracji polskich członków loży „Tor zum Osten” w Kassel, działającej w ramach „regularnej” Wielkiej Łoży Dawnych Wolnych i Uznanych Mularzy Niemiec reaktywowano starą wrocławską lożę „Horus” nieczynną od 1935. W kwietniu 1994 przeniesiono ją do Wrocławia. Skupiała zarówno Niemców, jak i Polaków, a językiem obrzędowym został język niemiecki. Niemcy jednak nie poinformowali o jej obudzeniu właściwej terytorialnie obediencji (zgodnie z prawem wolnomularskim), czyli WLNP. Jej dalsze losy nie są znane, być może nadal jeszcze działa niejawnie.

W 2008 rozpoczęła działalność w Polsce powstała w 2003 we Francji Wielka Loża Kultur i Duchowości (Grande Loge des Cultures et de la Spiritualité). Określa się jako obediencja teistyczna, adogmatyczna, świecka i mieszana. Pierwszymi lożami polskimi podległymi GLCS były „Erasmus Roterdamus” w Ustroniu, „Jan Henryk Dąbrowski” w Warszawie, oraz „UI” w Toruniu (dotychczas pracujący w strukturach DH). Prowincjałem Zakonu na Polskę został Henryk Wierniewski – zawodowo związany z budownictwem i handlem międzynarodowym. Studiował budownictwo morskie na Politechnice Gdańskiej oraz architekturę w Szkole Sztuk Pięknych w Paryżu. Do wolnomularstwa został przyjęty w 1989 we Francji. W Polsce był związany z lożami Droit Humain (m.in. „Pod Ułem” w Toruniu), przez pewien czas pełnił funkcję Wiceprezydenta Federacji Polskiej DH.

Od lutego 2017 do lipca 2021 funkcjonował Wielki Wschód Rzeczypospolitej Polskiej, obediencja utworzona przez loże dotychczas pracujące w strukturach Wielkiego Wschodu Polski – warszawskie: „Nadzieja”, „Trzech Braci”, „Europa” i „Kultura”, oraz powstałą w 2016 w Gdańsku „Gwiazdę Morza”. W marcu 2021 or-

ganizacja podjęła decyzję o samorozwiązaniu, co ostatecznie nastąpiło kilka miesięcy później. Większość łóż związanych z WWRP podjęła decyzję o chęci przyłączenia do Wielkiego Wschodu Francji, co spotkało się z przychylnością tej francuskiej obediencji.

Pierwszym Wielkim Mistrzem WWRP (2017-2019) był Zbigniew Grabowski (1930-2019) – geotechnik, rektor Politechniki Warszawskiej (1985-1988), minister – kierownik Urzędu Postępu Naukowo-Technicznego i Wdrożeń w rządzie Mieczysława Rakowskiego (10.1988 – 09.1989), prezes Polskiej Izby Inżynierów Budownictwa (2002-2014). Do masonerii został przyjęty w 1990 we Francji. Należał do pionierów wolnomularstwa polskiego, odradzającego się po przemianie ustrojowej.

Z czasem, tak jak to często bywa w różnych organizacjach, niektóre loże zaprzestały działalności, inne łączyły się ze sobą czy zmieniały podległość organizacyjną. Jeszcze inne w wyniku różnych nieporozumień występowały z obediencji, pozostając tzw. „dzikimi”, czyli nieuznanymi przez społeczność wolnomularską jako masońskie.

Obecnie można szacunkowo przyjąć, iż polska społeczność masonów liczy ok. 1000 członków zrzeszonych w ok. 50 lożach i – co charakterystyczne – mimo różnic ideowych polscy wolnomularze współpracują ze sobą i pomagają sobie wzajemnie (np. udostępniając lokale na posiedzenia lożowe). Ważnym jest też i to, że w porównaniu z okresem międzywojennym polskie wolnomularstwo działa legalnie, na podstawie obowiązującego prawa o stowarzyszeniach.

W latach dziewięćdziesiątych pojawiły się również dwa czasopisma masońskie. Pierwszym była „Ars Regia”, ukazująca się od 1992 do 2013, o charakterze naukowym poświęcona historii i myśli wolnomularstwa; początkowo wychodziła jako dwumiesięcznik, a następnie jako rocznik. Jej

redaktorem naczelnym i jednym z pomysłodawców był Tadeusz Cegielski, historyk idei, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, wolnomularz od 1987; pełnił funkcje Wielkiego Sekretarza oraz Wielkiego Mistrza Wielkiej Loży Narodowej Polski (2000-2003). Obecnie to jeden z najbardziej znanych (i uznanych) polskich wolnomularzy.

Rok później pojawił się na rynku prasowym wspomniany już wyżej „Wolnomularz Polski”, pismo publicystyczne przyjaciół sztuki królewskiej, choć niepozbowione charakteru popularno-naukowego. Jego pomysłodawcą i długoletnim redaktorem był Adam Witold Wysocki (1924-2018), dziennikarz i publicysta (m.in. w „Życiu Warszawy” i „Kurierze Polskim”), wykładowca na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego, działacz polityczny w PPS a następnie w SD. Jeden z pionierów odrodzonego liberalnego wolnomularstwa, mason od 1992. Założyciel (w 1994) i wieloletni przewodniczący Polskiej Grupy Narodowej Uniwersalnej Ligi Masońskiej (Universala Farmasona Ligo UFL). Liga jest stowarzyszeniem założonym w roku 1905 stawiającym sobie za cel „służyć znajdowaniu wspólnego języka dla wzajemnego porozumienia między ludźmi w ogóle, a wolnomularzami w szczególności”, skupiającym wolnomularzy bez względu na ryt i obediencję.

W 2012 powołane zostało stowarzyszenie „Instytut Sztuka Królewska w Polsce”, którego celem jest inspirowanie, prowadzenie oraz koordynacja badań naukowych na temat przeszłości oraz teraźniejszości wolnomularstwa polskiego i światowego, przechowywanie oraz udostępnianie materialnych i niematerialnych świadectw dotyczących masonerii, wymiana informacji oraz wszechstronna popularyzacja wiedzy na temat wolnomularstwa i pokrewnych mu zjawisk. Stowarzyszenie stawia sobie także za cel działanie na rzecz umocnienia wiedzy i świadomości historycznej społeczeństwa



Wielka Loża Narodowa Polski

polskiego, pogłębiania kultury tolerancji i dialogu między ludźmi, pobudzanie inicjatyw środowiskowych i lokalnych w celu współtworzenia społeczeństwa obywatelskiego. Do stowarzyszenia należą zarówno czynni wolnomularze, historycy, którzy zawodowo zajmują się tym zagadnieniem oraz osoby interesujące się masonerią.

Działające polskie obediencje posiadają swoje strony internetowe, a niektóre loże mają też samodzielne strony oraz profile na popularnym portalu społecznościowym Facebook. Portalem, gdzie zainteresowana osoba znajdzie informacje o współczesnej polskiej masonerii, a także jej historii, jest „Masoneria w Polsce” <https://wolnomularstwo.pl/>; tam też można znaleźć odnośniki do adresów poszczególnych obediencji i łóż.

Po 1989 wznowiło działalność kilka organizacji z okresu międzywojennego, uważanych za parawolnomularskie, choć z masonerią nie mające nic wspólnego. I tak w 1989 Lions Club oraz Rotary Club (początkowo jako część dystryktu szwedzkiego, od 1995 dystrykt polski, w 1990 Polska YMCA (choć trzeba przypomnieć że działała w latach 1945-1949), w 1991 Odd Fellows; w 2007 B'nai Brith (obecnie nosi nazwę B'nai B'rith) – Loża Polin; wśród jej

znanych aktywistów można wymienić filozofów Jana Woleńskiego oraz Jana Hartmana.

Warto wspomnieć o kilku osobach ze świata kultury, nauki czy polityki, które były, lub są nadal związane z polskim wolnomularstwem, a o których wcześniej nie wspomniałem. To m.in. Zbigniew Gertych (1922-2008) – polityk, ekonomista, agrotechnik, profesor, poseł na Sejm w latach 1982-1985, wicemarszałek, 1985-1987 wicepremier w rządzie Zbigniewa Messnera, ambasador w Wielkiej Brytanii, w latach 2002-2004 Wielki Mistrz Wielkiego Wschodu Polski; Piotr Kuncewicz (1936-2007) – pisarz, krytyk literacki, historyk literatury, prezes Związku Literatów Polskich (1989-2003), Wielki Mistrz Wielkiego Wschodu Polski 2004-2007; Wojciech Żukrowski (1916-2001) – pisarz, prezes ZLP 1986-1989; Krzysztof Teodor Toeplitz (1933-2010) – dziennikarz, pisarz, publicysta, autor scenariuszy; Jerzy Siewierski (1932-2000), pisarz, scenarzysta filmowy; Kazimierz Barcikowski (1927-2007) – ekonomista-agronom, polityk, współtwórca Związku Młodzieży Wiejskiej, minister rolnictwa 1974-1977, wicepremier 1980-1985, współtwórca Porozumienia Szczecińskiego w 1980; Jacek Fisiak (1936-2019) – filolog angielski, profesor, 1965-2005 dyrektor Instytutu Filologii Angielskiej UAM, 1985-1988 rektor UAM, 1988-1989 – minister edukacji narodowej w rządzie Mieczysława Rakowskiego; Tomasz Agatowski (1949-2004) – poeta, felietonista i reportażysta, związany z Poznaniem; Jerzy Dworak (1936-2017) – inżynier i przedsiębiorca wiele lat mieszkający we Francji, współtwórca Jurysdykcji i Federacji DH w Polsce; Wojciech Żukrowski (1916-2001) – pisarz, prezes ZLP 1986-1989; Włodzimierz Lengauer – historyk starożytności, dziekan Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego (2005-2008), prorektor

(2008-2012); Tomasz Jastrun, poeta, prozaik, felietonista, krytyk literacki; Waldemar Kuchanny, dziennikarz.

Na koniec kilka ogólnych uwag. Bycie wolnomularzem nie czyni nikogo mądrym, bogatym, ani nie daje władzy. Nie daje żadnych profitów ani uznania, nie zaszkadza szacunku ani podziwu innych. Do bycia wolnomularzem nie trzeba być bogatym, potężnym ani cieszyć się celebrycką sławą. Bycie masonem oznacza ciągłą pracę nad sobą, obowiązek szacunku do innych ludzi, ciągłą dbałość o poprawę samego siebie. W wymiarze praktycznym - trzeba także bywać na spotkaniach Loży (które odbywają się raz lub dwa razy w miesiącu), zabierać na nich głos, wymieniać poglądy. Jedno z najprostszych, najpiękniejszych i często jakże trudnych do wypełnienia określeń wolnomularstwa mówi, że mason ma stały obowiązek pracy nad sobą i dla innych; a w ramach tego obowiązku ma być tolerancyjnym wobec niedoskonałości innych ludzi oraz bezwzględny dla własnych wad.

Wykorzystano: Ludwik Hass, *Wolnomularze polscy w kraju i na świecie 1821-1999: słownik biograficzny*, Warszawa 1999; Anna Kargol, Dominique Lesage *Liberté, Égalité i Fraternité 1990-2020 nad Wisłą, 30 lat wolnomularstwa liberalnego w Polsce*, Kraków 2021; *Suknia i fartuszek. Z dziejów wolnomularstwa kobiecego w Polsce XVIII-XXI w.* pod red. Mirosławy Dołęgowskiej-Wysockiej, Warszawa 2021 (Biblioteczka Wolnomularza Polskiego) oraz informacje zawarte na stronach Wielkiej Loży Narodowej Polski [www.wlnp.pl](http://www.wlnp.pl); Wielkiego Wschodu Polski <https://wielkiw-schod.pl/>; Droit Humain <https://www.droitmain.pl/>; oraz Masoneria w Polsce <https://wolnomularstwo.pl/>; jak również prywatne kontakty autora z masonami. □

Stopnie Rytu Szkockiego Dawnego Uznanego  
(dominującego w wolnomularstwie)

Masoneria niebieska (świętojańska) – stopnie symboliczne (uniwersalne)

1° Uczeń

2° Czeladnik

3° Mistrz

**Masoneria czerwona – stopnie kapitularne**

4° Mistrz Tajny

5° Mistrz Doskonały

6° Sekretarz Tajny

7° Przełożony i Sędzia

8° Nadzorca Budowli

9° Mistrz (Rycerz) Wybrany z Dziewięciu

10° Mistrz (Rycerz) Wybrany z Piętnastu

11° Wzniosły Kawaler (Rycerz) Wybrany

12° Wielki Mistrz Budowniczy

13° Mason Królewskiego Sklepienia

14° Wybrany Doskonały albo Wielki Wybrany

(Wielki Szkot Świętego Sklepienia Jakuba)

15° Kawaler (Rycerz) Wschodu lub Miecza

16° Księżę Jerozolimski

17° Kawaler (Rycerz) Wschodu i Zachodu

18° (Najwyższy) Rycerz (Księżę) Różokrzyżowiec

**Masoneria czarna – stopnie filozoficzne**

19° Wielki Kapłan Niebieskiego Jeruzalem (Wzniosły Szkot)

20° Wielki Mistrz Łóż Symbolicznych

21° Noachita lub Rycerz Pruski

22° Rycerz Królewskiego Topora lub Księżę Libanu

23° Urzędnik (Obrońca) Przybytku

24° Księżę Przybytku

25° Kawaler (Rycerz) Miedzianego Węża

26° Księżę Łaski

27° Najwyższy Komandor Świątyni

28° Kawaler (Rycerz) Słońca

29° Wielki Rycerz (Szkot) św. Andrzeja (Szkockiego)

30° Rycerz Kadosz

**Masoneria biała – stopnie admini**

**stracyjne**

31° Wielki (Inspektor-Inkwizytor) Komandor

32° Wzniosły Księżę Królewskiej Tajemnicy (Księżę Królewskiego Sklepienia)

33° Suwerenny Wielki Inspektor Generalny (Najwyższy Inspektor)

AGATA URSYN

## RELIGIA W POLSKIEJ SZKOLE PUBLICZNEJ. TRZYDZIEŚCI LAT ZMIAN W PRZEPISACH PRAWNYCH

Gdyby młodzież mogła decydować, w szkołach publicznych nie byłoby lekcji religii.

W sondażu przeprowadzonym w 2018 r. zapytano uczniów w wieku 15-19 lat: – „Czy popierasz likwidację nauczania religii w szkołach?”. 61 procent respondentów odpowiedziało „popieram”.

Dorośli jednak rzadko kiedy słuchają młodych. Decydenci od lat pilnują utrzymania *status quo*. Działają w myśl gombrowiczowskiej formuły: ma być tak, jak jest; a jest tak, jak ma być. Wyraża ona niechęć do dokonania diametralnej zmiany, czyli zlikwidowania katechezy w szkołach. Niechęć owa nie zamyka jednak drogi do przeprowadzenia różnych zmian w tej materii. Dokonano ich kilka na przestrzeni minionych 30 lat.

### Co utrudnia likwidację przedmiotu?

Na przeszkodzie stoją obowiązujące uregulowania prawne i brak woli zajęcia się sprawą przez kolejne ekipy sprawujące władzę polityczną w państwie.

Nauczanie religii do szkół publicznych wprowadzono 1 września 1990 r. Należy przypomnieć, że uczyniono to naruszając obowiązujące wtedy przepisy ustawowe. Dopiero później, w latach 1991-1997 przyjęto przepisy, które sankcjonowały katechezę w przedszkolach i szkołach. Odpowiednie gwarancje normatywne zawarto w Konstytucji RP z 1997 r., w konkordacie z 1993 r. (obowiązuje od 1998 r.) i w ustawie o systemie oświaty z 1991 r.

Norma konstytucyjna stanowi, że: „Religia kościoła lub innego związku wyznaniowego o uregulowanej sytuacji prawnej może być przedmiotem nauczania w szkole, przy czym nie może być naruszona wolność sumienia i religii innych osób” (art. 53. 4. Konstytucji RP). Formuła zawierająca warunek została wypracowana z niemałym trudem przez członków Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego. Pogodziła połowicznie na tym forum zwolenników i przeciwników obecności katechezy w szkole.

Konkordat zawiera kilka norm o warunkowej treści, ale nie dotyczą one nauczania religii. Artykuł 12 konkordatu stanowi w tej sprawie, że:

„1. Uznając prawo rodziców do religijnego wychowania dzieci oraz zasadę tolerancji, Państwo gwarantuje, że szkoły publiczne podstawowe i ponadpodstawowe oraz przedszkola prowadzone przez organy administracji państwowej i samorządowej organizują zgodnie z wolą zainteresowanych naukę religii w ramach planu zajęć szkolnych i przedszkolnych.

2. Program nauczania religii katolickiej oraz podręczniki opracowuje władza kościelna i podaje do wiadomości kompetentnej władzy państwowej.

3. Nauczyciele religii muszą posiadać upoważnienie (*missio canonica*) od biskupa diecezjalnego. Cofnięcie tego upoważnienia oznacza utratę prawa do nauczania religii. Kryteria wykształcenia pedagogicznego oraz forma i tryb uzupełniania tego wykształcenia będą przedmiotem uzgodnień

kompetentnych władz państwowych z Konferencją Episkopatu Polski.

4. W sprawach treści nauczania i wychowania religijnego nauczyciele religii podlegają przepisom i zarządzeniom kościelnym, a w innych sprawach przepisom państwowym.

5. Kościół katolicki korzysta ze swobody prowadzenia katechezy dla dorosłych, łącznie z duszpasterstwem akademickim.”

Warto wiedzieć, że konkordat jest szczególnie umową międzynarodową. W porządku prawnym państwa pasuje się za konstytucją, a przed ustawami. Zatem gwarancje w nim zawarte mają większą moc prawną, aniżeli gwarancje dane w ustawach zwykłych.

Od 25 kwietnia 1998 r. konkordat jest częścią polskiego porządku prawnego i jako umowa międzynarodowa może być stosowana bezpośrednio. W praktyce przez lata obudowano go różnymi przepisami wykonawczymi. Regulują one między innymi kwestię wykształcenia nauczycieli religii.

Ustawa o systemie oświaty z 1991 r. była nowelizowana wielokrotnie. Zmiany, ale niewielkie, poczyniono także w przepisach regulujących sprawę katechezy. Obecnie artykuł 12 ustawy stanowi, że:

„1. Publiczne przedszkola i szkoły podstawowe organizują naukę religii na życzenie rodziców, publiczne szkoły ponadpodstawowe na życzenie bądź rodziców, bądź samych uczniów; po osiągnięciu pełnoletności o pobieraniu nauki religii decydują uczniowie.

2. Minister właściwy do spraw oświaty i wychowania, w porozumieniu z władzami Kościoła Katolickiego i Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego oraz innych kościołów i związków wyznaniowych, określa, drodze rozporządzenia, warunki i sposób wykonywania przez szkoły zadań, o których mowa w ust. 1.”

Jak widać, nauczanie religii w polskich szkołach publicznych i przedszkolach ma solidne podstawy prawne. Dlatego wielu praw-

ników i polityków jest zdania, że z formalnoprawnego punktu widzenia usunięcie nauki religii ze szkół jest nierealne. Jest to dyskusyjne stanowisko.

Jeżeli zaistnieją kiedyś dogodne warunki dla usunięcia katechezy ze szkół, wtedy mogą to umożliwić „furtki” istniejące we wskazanych aktach prawnych.

Przepis konstytucji jest elastyczny. Stanowi jasno, że religia „może być przedmiotem nauczania w szkole” (art. 53. 4.). Oznacza to logicznie biorąc – że również może nie być tam nauczana. Osiągnięcie tego stanu rzeczy – jak widać – nie musi się wiązać ze zmianą przepisu konstytucyjnego.

Zmiany w konkordacie powinny być dokonywane w trybie procedowania umowy międzynarodowej. Taka jest istota tego aktu prawnego. Ale w polskim konkordacie (także w konkordatach innych państw) istnieją tzw. klauzule odsyłające. Ułatwiają one stronom umowy postępowanie porozumiewawcze w nowych sprawach. W polskim przypadku kluczowy jest artykuł 27 konkordatu o treści: „Sprawy wymagające nowych lub dodatkowych rozwiązań będą regulowane na drodze nowych umów między Układającymi się Stronami, albo uzgodnień między Rządem Rzeczypospolitej Polskiej i Konferencją Episkopatu Polski upoważnioną do tego przez Stolicę Apostolską”. Można więc działać w trybie rokowań prowadzonych na szczeblu dyplomatycznym, bądź korzystać z trybu uproszczonego. Ten drugi był już stosowany w Polsce.

Może być także zastosowane działanie polegające na obejściu konkordatu. To już się wydarzyło w Polsce. W 2010 r. doszło do rozszerzenia konkordatowego wykazu kościelnych dni świątecznych wolnych od pracy o Święto Objawienia Pańskiego (tzw. Święto Trzech Króli). Wszyscy decydenci zignorowali wtedy procedurę zmiany wymaganej w konkordacie w tej sprawie (art. 9. 2. konkordatu). Nowe święto zostało umocowane tylko ustawowo. W tym celu zmieniono ustawę z dnia 18 stycznia 1951 r. o dniach

wolnych od pracy i ustawę z dnia 17 maja 1989 r. o stosunku Państwa do Kościoła Katolickiego w RP.

Nigdy nie wiadomo, komu i w jakiej sprawie będzie kiedyś potrzebne elastyczne i „życiowe” podejście do obowiązujących uregulowań prawnych. Tu jak najbardziej należy widzieć władze Kościoła katolickiego. Przyznały one otwarcie po latach, że wprowadzenie nauki religii do szkoły było błędem. Zanim jednak Kościół katolicki – największy beneficjent katechezy szkolnej – zdecyduje się na jakieś ważne zmiany w tej dziedzinie, upłynie niemało czasu.

Nie jeden sąd nad przepisami o katechizacji

Krótką historią nauczania religii w polskiej szkole publicznej pokazuje, że w tej materii zmiany są możliwe, i że towarzyszą one procesowi katechizacji od początku. Niezmiernie ważne jest to, że kilka zmian jest konsekwencją orzecznictwa różnych sądów.

### **Sąd pierwszy – nad procedurą**

Pierwszy „sąd nad katechezą” odbył się już po sześciu miesiącach. Rzecznik Praw Obywatelskich (wtedy Ewa Łętowska) zakwestionował tryb wprowadzenia katechezy i sformułował zarzut niezgodności obu instrukcji MEN z 1990 r., wprowadzających nauczanie religii do szkół, z obowiązującą konstytucją i ustawą o rozwoju systemu oświaty i wychowania.

Trybunał Konstytucyjny orzekł 30 stycznia 1991 r., iż nie doszło do złamania prawa przez ministra edukacji narodowej w kwestii procedury, i że instrukcje nie naruszają ani konstytucyjnej zasady oddzielenia Kościoła od państwa, ani zasady świeckości państwa.

Taki był rezultat głosowania sędziowskiego. Ze stanowiskiem RPO zgadzało się 6 sędziów, 6 było przeciwnych. W patowej sytuacji przeważał głos przewodniczącego składu orzekającego, który przyłączył się do przeciwników RPO. Głosowanie sędziów i orzeczenie TK było ważkim sygna-

łem dla opinii publicznej i środowiska prawniczego o tym, jak jest i będzie trudne orzekanie w sprawach natury światopoglądowej.

Pozytywnym następstwem orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego i swoistym sukcesem RPO było rozpoczęcie w Sejmie pracy nad nową ustawą o systemie oświaty. Uchwalono ją 7 września 1991 r. Dopiero wtedy nauczanie religii w szkole uzyskało należyta, ustawową podstawę prawną. W ustawie zobowiązano ponadto ministra edukacji narodowej do określenia w drodze rozporządzenia sposobu organizowania nauki religii w szkołach publicznych (art. 12. 2.). Zapowiedziane rozporządzenie wydał 14 kwietnia 1992 r. minister Andrzej Stelmachowski. W żargonie prawniczym bywa ono nazywane *lex Stelmachowski*.

W obiegu prawnym znane jest pod urzędowym tytułem: *Rozporządzenie Ministra Edukacji Narodowej z dnia 14 kwietnia 1992 r. w sprawie warunków i sposobu organizowania nauki religii w publicznych przedszkolach i szkołach*.

### **Sąd drugi – nad rozporządzeniem**

Nie był to doskonały akt prawny, co przyznawał publicznie sam minister A. Stelmachowski. Deklarował gotowość usunięcia wad rozporządzenia, na co nalegał Rzecznik Praw Obywatelskich (wtedy Tadeusz Zieliński). Minister zapewniał, że „rozważy sprawę ewentualnej możliwości zmiany niektórych postanowień rozporządzenia”. RPO pilnował sprawy, urzędowo ponaglał ministra i przypominał każdorazowo, że wady rozporządzenia budzą zastrzeżenia RPO „w stopniu uzasadniającym zaskarżenie do Trybunału Konstytucyjnego”. W sprawie liczył się także czas, gdyż znowelizowanie rozporządzenia bądź wydanie nowego aktu powinno być czynione przed rozpoczęciem nowego roku szkolnego 1992/93.

Ministrowie edukacji: A. Stelmachowski i jego następca Zdobysław Flisowski w praktyce odmówili RPO „załatwienia sprawy



w duchu dialogu i koncyliacji”. Nie zmienili rozporządzenia. Istniejący stan rzeczy jakby przymusił RPO do wystąpienia z wnioskiem do Trybunału Konstytucyjnego o stwierdzenie niezgodności rozporządzenia z 1992 r. z obowiązującym ustawodawstwem.

Wniosek został złożony 19 sierpnia 1992 r. RPO uzupełnił go w marcu 1993 r. o jedną kwestię. Łącznie RPO sformułował 8 zarzutów wobec zaskarżonego rozporządzenia. Dotyczyły one:

1) wprowadzenia do planu zajęć szkolnych nowego przedmiotu – etyki jako przedmiotu alternatywnego wobec nauki religii;

2) obowiązku składania oświadczeń przez zainteresowanych o świadomej rezygnacji z nauki religii lub o pobieraniu jej poza szkołą;

3) zatrudniania nauczycieli religii przez szkoły bez podstaw prawnych i finansowania przez szkoły z funduszy publicznych celów, będących wewnętrzną sprawą kościołów i związków wyznaniowych;

4) wprowadzenia bez upoważnienia ustawowego nauczycieli religii do rad pedagogicznych i nałożenie na nich obowiązku wypełniania dziennika szkolnego;

5) wprowadzenia bez umocowania ustawowego i sprzecznej z kodeksem pracy i Kartą Nauczyciela zasady, że cofnięcie nauczycielowi upoważnienia (tzw. *missio canonica*) do nauczania religii oznacza wypowiedzenie (zmianę) stosunku pracy;

6) wpisywania oceny z religii na świadectwo szkolne; RPO stawiał temu „unormowaniu (...) zarzut, że do dokumentu urzędowego wystawianego przez szkołę publiczną wprowadza element oceny materii nie należącej do sfery edukacji, a pozostającej wewnętrzną sprawą kościołów”;

7) możliwości umieszczania krzyża w pomieszczeniach szkolnych (to jest nie tylko w salach służących do katechizacji) oraz odmawiania modlitwy przed i po zajęciach (to jest nie tylko przed i po lekcji religii);

8) naruszenia procedury legislacyjnej przez ministra przy wydawaniu rozporządzenia, polegającego na „niedopełnieniu obowiązku wydania go »w porozumieniu« z licznymi kościołami niekatolickimi”.

Trybunał Konstytucyjny rozpoznał wniosek RPO w pełnym składzie i wydał orzeczenie w dniu 20 kwietnia 1993 r. (dwóch sędziów złożyło zdanie odrębne). Trybunał uznał zarzuty RPO sformułowane w punkcie 1, 2, 5 i 6. Wskazał tym samym, w których sprawach nastąpiło przekroczenie granic ustawowej delegacji dla ministra edukacji narodowej do wydania rozporządzenia w kwietniu 1992 r. Przepisy kwestionowane przez RPO w punktach 3, 4, 7, 8 Trybunał uznał za zgodne z konstytucją i odpowiednimi ustawami.

Wadliwe rozporządzenie obowiązywało do końca roku szkolnego 1992/93. Minister Z. Flisowski zmienił je 25 sierpnia 1993

r. Trzy przepisy otrzymały nowe brzmienie. Po niewielkich zmianach redakcyjnych dokonanych w latach następnych brzmią one obecnie następująco:

- § 3. 3. Szkoła jest zobowiązana zapewnić w czasie trwania lekcji religii lub etyki opiekę lub zajęcia wychowawcze uczniom, którzy nie korzystają z nauki religii lub etyki w szkole.

- § 5. 2. Cofnięcie skierowania, o którym jest mowa w ust. 1, jest równoznaczne z utratą uprawnień do nauczania religii w danym przedszkolu lub szkole. O cofnięciu skierowania właściwe władze kościołów lub innych związków wyznaniowych powiadamiają dyrektora przedszkola lub szkoły oraz organ prowadzący. Na okres pozostały do końca roku szkolnego kościół lub inny związek wyznaniowy może skierować inną osobę do nauczania religii, z tym, że równocześnie pokrywa on koszty z tym związane.

- § 9. 4. Uczniowie korzystający z nauki religii lub etyki organizowanej przez organy prowadzące szkoły zgodnie z § 2 ust. 2-4 i § 3 ust. 2 otrzymują ocenę z religii (etyki) na świadectwie wydawanym przez szkołę, do której uczęszczają, na podstawie zaświadczenia katechety lub nauczyciela etyki.

### **Sąd trzeci – nad średnią ocen ucznia**

W 2007 r. spełniony został postulat Episkopatu Polski wliczania do średniej ocen ucznia rocznej oceny uzyskanej z zajęć religii lub etyki. Władza kościelna uzasadniała tę inicjatywę potrzebą dostarczenia uczniom motywacji i docenienia ich wysiłku wkładanego w realizację zajęć nadobowiązkowych. Średnia ocen będzie poza tym „nośnikiem” informacji o postępach ucznia w procesie edukacyjnym – argumentowali biskupi.

Minister edukacji narodowej (wtedy Roman Giertych z prokatolickiej Ligi Polskich Rodzin) w powyższym celu znowelizował 13 lipca 2007 r. *Rozporządzenie w sprawie warunków i sposobu oceniania, klasyfikowania i promowania uczniów i słuchaczy oraz przeprowadzania sprawdzianów*

*i egzaminów w szkołach publicznych*. Zmieniony przepis stanowi, że: „uczniowi, którzy uczęszczał na dodatkowe zajęcia edukacyjne lub religię albo etykę, do średniej ocen (...) wlicza się także roczne oceny uzyskane z tych zajęć”.

To swoiste „przekupstwo” wobec uczniów ostro krytykowano w środowisku oświatowym, prawniczym (m.in. był to RPO), parlamentarnym, a także katolickim. Ale zmiana rozporządzenia została zaskarżona do Trybunału Konstytucyjnego tylko przez grupę posłów z Klubu Parlamentarnego Lewica i Demokraci. Wniosek do TK złożyło ponadto Krajowe Forum Oświaty Niepublicznej. Miał on formę listu do TK i z przyczyn formalnych nie został przyjęty.

Wnioskodawcy uważali, że rozporządzenie z 13 lipca 2007 r. jest niezgodne z określonymi przepisami konstytucji oraz ustawy o gwarancjach wolności sumienia i wyznania. Wyrok TK wydany 2 grudnia 2009 r. głosił, że wszystko odbyło się i jest zgodne z prawem. TK dowodził tego w uzasadnieniu do wyroku, które nawet po latach budzi kontrowersje. Zawiera ono bowiem sprzeczne tezy, nawet dziwaczne – jak wskazał kiedyś jeden ze znawców przedmiotu; np. karłowatą argumentację, często kuriozalną z prawnego punktu widzenia, i wypowiedzi wyraźnie wskazujące na przychyłność Trybunału Konstytucyjnego wobec Kościoła katolickiego.

Wyrok TK z 2009 „przypieczetował” zmianę wprowadzoną przez ministra R. Giertycha i obowiązującą od 1 września 2007 r. Nie wszyscy uczniowie zyskali na tej zmianie. Rychło okazało się w praktyce, że wliczanie do średniej ocen ucznia rocznej oceny uzyskanej z religii lub etyki dyskryminuje uczniów, którzy nie uczęszczają na żaden z tych dwóch przedmiotów – komentował prof. M. Pietrzak, wybitny polski znawca prawa wyznaniowego. Niższa średnia ocen stawia tych uczniów w gorszej sytuacji, gdy np. w trakcie rekrutacji do szkół stosowany jest tzw. konkurs świadectw.

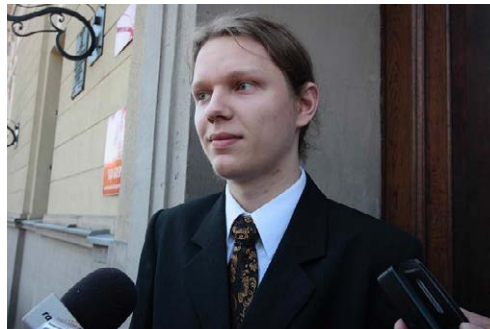
Zdaniem profesora przepis z 2007 r. powoduje także uprzywilejowanie uczniów katolickich.

### Sąd czwarty – nad etyką

Tym razem nie był to sąd krajowy, lecz Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu. W latach 2002-2010 r. zajmował się *sprawą Grzelak przeciwko Polsce*. Podstawą sprawy była skarga wniesiona w 2002 r. przez trzy osoby: rodziców i ich dziecko. Był nim Mateusz Grzelak, wtedy 11-letni uczeń szkoły podstawowej w Ostrowie Wielkopolskim. Przedmiotem skargi był w szczególności brak oceny z religii/etyki na świadectwach szkolnych Mateusza Grzelaka. W trakcie wielu lat edukacji uczeń nie uczęszczał na lekcje religii, a nie mógł się uczyć etyki w żadnej szkole, gdyż był jedyną osobą zainteresowaną tym przedmiotem w skali całego powiatu ostrowskiego. Mimo życzenia i starań rodziców szkoły nie organizowały zajęć z etyki dla ich syna. Nieuczestniczenie w lekcjach religii było przyczyną fizycznego i psychicznego prześladowania M. Grzelaka przez innych uczniów.

ETPC wydał wyrok w *sprawie Grzelak przeciwko Polsce* w dniu 15 czerwca 2010 r. Trybunał uznał jednogłośnie skargę M. Grzelaka dotyczącą braku oceny na jego świadectwach szkolnych; stwierdził, że doszło do naruszenia praw M. Grzelaka w związku z art. 9 Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności [z 1950 r.]; uznał jednogłośnie, że „stwierdzenie naruszenia stanowi samo w sobie wystarczające zadośćuczynienie za szkody niematerialne, doznane przez skarżącego. Ten punkt wyroku ETPC niewątpliwie rozczarował skarżących, gdyż żądali od rządu polskiego wypłacenia zadośćuczynienia w wysokości 150 tys. euro.

Finał sprawy wprowadził nazwisko ucznia Mateusza Grzelaka – być może nieoczekiwanie dla niego samego – do historii nauczania religii i etyki w polskiej szkole. Nieczęsto się zdarza takie wyróżnienie



Mateusz Grzelak

przez los 19-letniego człowieka. Dla władz oświatowych w Polsce wyrok ETPC z 2010 r. oznaczał obowiązek zmienienia w ciągu 4 lat *rozporządzenia w sprawie warunków i sposobu organizowania nauki religii w publicznych przedszkolach i szkołach*, obowiązującego od 1992 r. Rząd zwlekał z tym uregulowaniem niemalże do ostatniej chwili. Wreszcie 25 marca 2014 r. minister edukacji Joanna Kluzik-Rostkowska podpisała zmianę rozporządzenia. W czterech paragrafach rozporządzenia kilku przepisom nadano nowe brzmienie. W sprawie etyki postanowiono, że: „W zależności od liczby zgłoszonych uczniów zajęcia z etyki są organizowane zgodnie z § 2 ust. 1 - 3. Organizacja zajęć z etyki nie wymaga porozumienia, o którym mowa w § 2 ust. 2.” (§ 3. 2. rozporządzenia).

Ten suchy, prawniczy „komunikat”, został niebawem objaśniony przez MEN językiem powszechnie zrozumiałym. Uczyniono to w urzędowej informacji MEN *W sprawie zasad organizowania nauki religii i etyki w roku szkolnym 2014/2015*, opublikowanej 16 czerwca 2014 r. W dokumencie napisano jasno, że „od 1 września 2014 r. przestaje obowiązywać dotychczasowe ograniczenie co najmniej 3 uczniów, dla których organ prowadzący szkołę tworzy grupę międzyszkolną lub pozaszkolny punkt katechetyczny. Oznacza to, że zajęcia z etyki lub religii (określonego wyznania) są organizowane nawet dla 1 ucznia. W takim przypadku wskazane jest, aby zajęcia z etyki odbywały się w szkole, w której uczeń ten spełnia obowiązek szkolny lub obowiązek nauki”.

Skutek praktyczny zmiany wymuszonej przez ETPC był nadzwyczajny. W roku szkolnym 2014/15 wydatnie wzrosła liczba szkół (prawie pięciokrotnie) realizujących nauczanie etyki. Stanowiły one wtedy 11,3 proc. ogółu szkół publicznych w Polsce.

Jak widać, wyrok Europejskiego Trybunału Praw Człowieka przysłużył się także mniejszościom religijnym w Polsce. Lekcje religii dla ich uczniów odbywają się w 4 proc. szkół publicznych. Wszakże pojawiają się nowe grupy wyznaniowe, zainteresowane nauczaniem swojej religii (np. islamu) w szkołach. W związku z tym Rzecznik Praw Obywatelskich Adam Bodnar zaproponował niegdyś powiększenie o kościoły i związki wyznaniowe liczby podmiotów uprawnionych do składania wniosku do szkoły publicznej o zorganizowanie lekcji religii. Obecnie taki wniosek mogą składać rodzice i uczniowie. Od 2014 r. obowiązuje ponadto zasada, że wola zainteresowanych musi być wyrażona „w formie pisemnego oświadczenia. Oświadczenie nie musi być ponawiane w kolejnym roku szkolnym, może jednak zostać zmienione” (§ 1.2. rozporządzenia z 1992 r.). Postulat RPO nie został zrealizowany. Szkoda, gdyż był to rzeczowy sygnał, że jeszcze można coś polepszyć w sprawie dostępności wyznań mniejszościowych do nauczania religii w ramach publicznego systemu edukacji szkolnej.

### Perspektywa „czarnej” zmiany

Kolejny raz rozporządzenie zmieniono w 2017 r., w związku z reformą systemu oświaty. Były to zmiany o charakterze terminologicznym. Co przyniesie przyszłość? Wiele wskazuje na to, że może to być wielka i *nomen omen* „czarna” zmiana merytoryczna, nad którą pracuje od 2020 r. minister Przemysław Czarnek.

Chodzi mianowicie o nadanie religii i etyce statusu przedmiotu obowiązkowego. W obecnym stanie prawnym (w dniu 1 kwietnia 2022 r.) są to przedmioty nieobowiązkowe, udział w nich jest dobrowolny.

Uczeń może uczyć się na religię (2 lekcje w tygodniu) lub na etykę (to zazwyczaj 1 lekcja); może realizować oba przedmioty, może nie chodzić na żaden z tych przedmiotów. Kościół katolicki od wielu lat występuje przeciw wariantowi „nie”. „Dopuszczalność ścieżki nie” jest – wedle władz kościelnych – rozwiązaniem niewychowawczym, wręcz deprawującym. Dlatego „uczniowie niewierzący powinni chodzić na zajęcia z etyki” – głoszą biskupi.

Minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek nie jest więc autorem pomysłu obligatoryjności tych przedmiotów. Jest natomiast jego „twarzą” na forum publicznym i wysokim urzędnikiem państwowym, który gorliwie dąży do wprowadzenia tej obligatoryjności jak najszybciej. W 2021 r. zdecydował o wdrożeniu systemu kształcenia nowych nauczycieli etyki na studiach podyplomowych. Etyka i religia staną się przedmiotami obowiązkowymi być może już w roku szkolnym 2023/2024.

Przygotowywana zmiana jest zbudowana na przymusie, któremu nikt nie lubi podlegać; także uczniowie w każdym wieku. W sprawach natury światopoglądowej przymus jest działaniem niedopuszczalnym i sprzecznym z prawem obowiązującym w Polsce. Czy minister, przygotowując „zdyscyplinowanie” uczniów po myśli Kościoła katolickiego jest przygotowany do obrony obligatoryjności nauki religii i etyki przed Trybunałem Konstytucyjnym? Czas to pokaże.

Czas pokaże także, jak skutecznie wystąpią przeciw „czarnej” zmianie środowiska od lat działające w Polsce pod hasłem: WOLNA SZKOŁA! – RELIGIA DO KOŚCIOŁA! □



DANUTA STOLAREK

## KOBIETY OSTATNIEGO CARA IMPERIUM ROSYJSKIEGO:

### Matylda Krześcińska Aleksandra Fiodorowna – ostatnia carowa Imperium Rosyjskiego

Najstarszy syn Aleksandra III i Marii Fiodorowny nie miał sylwetki Romanowów. W kręgu rodzinnym pieszczotliwie nazywano go Niki. Był szczupły, raczej niskiego wzrostu, wrażliwy i wyjątkowo nieśmiały w kontaktach z damami. Nie były to cechy najkorzystniejsze dla następcy tronu. Wolał raczej towarzystwo oficerów niż flirty z frejlinami. Rodzice postanowili ośmielić go i zabrali na koncert dyplomowy Imperatorskiej Szkoły Baletowej. Niby przypadkiem poznał tam (wcześniej wytypowaną przez członków klanu Romanowów i wybraną przez samego cara) Matyldę Krześcińską, która tańczyła partię solową w spektaklu dyplomowym.

W Rosji balet nazywano „harem Romanowów”. Wielu wielkich księżąt miało liczne romanse z tancerkami, niektórzy liczne potomstwo, które otrzymywało tytuły szlacheckie. Romans z baletnicą ich nie kompromitował. Mimo, że uznawano dzieci, małżeństwa się nie zdarzały. Car po spektaklu podszedł do Matyldy Krześcińskiej i powiedział: „Niech pani będzie ozdobą i sławą naszego baletu”. Te słowa sprawdziły się dopiero w przyszłości, ale tancerka zawsze o nich pamiętała.

Na bankiecie car posadził ją obok następcy tronu, żartując, „by zbyt nie flirtowali”. Obydwoje byli przekonani, że ich pierwsze spotkanie było przypadkiem, a nie

skrupulatnie zaplanowaną intrygą dworską. Kim była ta kobieta, której przez całe życie towarzyszyło tyle samo uwielbienia co intrygi i nienawiści? Jak mawiano: kolekcjonowała klejnoty i Romanowów.

Urodziła się 19 sierpnia 1872 r. jako dziewiąte dziecko Julii Damięckiej i Feliksa Krześcińskiego w Ligowie. Według legendy rodzina wywodziła się od hrabiów Krasińskich. Jako relikwię rodzinną przechowywano sygnet z herbem Krasińskich. Ojciec był tancerzem charakterystycznym i baletmistrem, tancerzami byli także matka, starsza siostra Julia i brat Józef. Ojca do Petersburga zaprosił jeszcze car Mikołaj I zachwycony jego ognistym wykonaniem mazura. Krześciński zdobył sławę w Teatrze Maryjskim. Nie zrywał kontaktów z Warszawą, często bywał tu na gościnnych występach, w domu kultywował polskie tradycje.

Matylda, nazywana Małą, pasjonowała się tańcem. Po raz pierwszy w wieku 4 lat zatańczyła w spektaklu „Konik Garbusek”. Kiedy ukończyła 8 lat rozpoczęła edukację w Imperatorskiej Szkole Baletowej, gdzie wyróżniała się wielkim talentem, pracowitością i niebywałym wdziękiem osobistym.

Romans z carewiczem zaczął się od przedstawienia dyplomowego w 1890 r. Zapiski w dzienniku świadczyły, że Niki nadal był nieśmiały. Pisał, że M. mu się po-

dość, stopniowo umacniało się jego uczucie, natomiast Matylda już po pierwszym spotkaniu napisała: „będzie mój” i konsekwentnie dążyła do celu. Romans początkowo był czysto platoniczny, spotykali się w garderobie lub w domu jej rodziców. Matylda miała niespełna 18 lat, Niki 22. Oprócz niego bywali tam także inni członkowie domu Romanowów.

Co roku latem w Krasnym Siole odbywały się manewry, w których uczestniczył następca tronu i wielcy książęta (wszyscy mieli stopnie oficerskie). Tam też był teatr letni, w którym co dwa tygodnie odbywały się spektakle dla oficerów. Występowała również Matylda. Niki bywał na każdym spektaklu. Kiedy wrócili do Petersburga, minister dworu jego carskiej wysokości kupił dla Matyldy dom na Angielskim Prospekcie. Romans zaczął się szybko rozwijać. Kiedy rodzina carska postanowiła wysłać Nikiego w podróż na Daleki Wschód, wyjechał z jej podobizną, a samą Matyldę powierzył opiece wielkiego księcia Siergieja Michajłowicza. Po powrocie romans rozgorzał z nową siłą. Mimo, że jednocześnie był zakochany w Alix, sam nie potrafił zrozumieć, że potrafi jednocześnie kochać dwie kobiety.

Ambitna tancerka korzystała z „opieki” domu panującego, repertuar teatru Maryjskiego podporządkowywała swojej woli, wybierała dla siebie role, powoli wypierała włoskie tancerki zapraszane do wykonywania głównych ról. Pewnego razu odmówiła wystąpienia w kostiumie, który deformował jej sylwetkę (była niskiego wzrostu). Doszło do skandalu. Kiedy dyrektor postanowił ją ukarać, Matylda odwołała się do swoich protektorów. Jej skarga spowodowała dymisję dyrektora teatru, księcia S. Wołkońskiego.

Kaprysy i ambicje wszechwładnej Matyldy, dobór repertuaru i ról pod jej talent i życzenia były przyczyną konfliktów w zespole i z kolejnymi dyrektorami. Przysparzały jej wrogów, ona zaś niemal całkowi-



Matylda Krzezińska

cie podporządkowała sobie teatr. Mistrzostwo i techniczna wirtuozeria, szczególnie role charakterystyczne, pomnażały grono jej wielbicieli. Była niezrównaną gwiazdą najbardziej prestiżowego teatru Rosji – Maryjskiego. Kiedy odtańczyła partię Aurory w „Śpiącej królownie”, sam P. Czajkowski składał jej podziękowania i gratulacje. W ciągu pierwszego sezonu zatańczyła w 22 spektaklach baletowych i 21 operach.

Od początku romansu była obsypywana brylantami i bardzo kosztownymi podarkami - nie tylko przez Nikiego, ale i przez wielkich książąt. Na scenie, gdy tańczyła rolę biednej Cyganki Esmeraldy, w jej uszach błyszczały ogromne brylanty. Jej klejnoty były przedmiotem zazdrości całej trupy. Sami Romanowowie rywalizowali między sobą, kto jej podaruje droższe klejnoty, ona zaś skrzętnie zapisywała w swoim dzienniku każdy klejnot i jego wartość.



Willa Matyldy Krześcińskiej w Sankt Petersburgu, 2003

Według jednej z jej notatek było to 225 broszek, 13 diademów z brylantami i innymi drogimi kamieniami, 42 bransoletki i ponad 210 kilogramów pereł i innych klejnotów. Do dziś poszukiwacze szukają w Petersburgu pozostawionych skarbów, ponieważ wyjeżdżała w pośpiechu z niewielką walizką. Bolszewicy, którzy natychmiast zajęli jej pałac, wielokrotnie przekopywali jej ogród. Oficjalnie nic nie znaleziono, ale krążyła pogłoska, że odnaleziono precjoza potajemnie skradziono.

Romans z carewiczem trwał krótko, ale był bardzo burzliwy. Jak został zainicjowany przez cara, tak i przypadkowo przez niego zakończony. Kiedy w 1893 r. choroba cara zaczęła szybko postępować, postanowiono przyspieszyć zaręczyny i ślub następcy tronu. O ich pożegnalnym spotkaniu w 1893 r. istnieje kilka wersji opowieści. Według jej pamiętników było to bardzo wzruszające spotkanie. Poprosiła cara, by nadal mogła zwracać się do niego na „ty”, nazywać go Niki i w razie konieczności

zwracać się z prośbą o pomoc. Car przyrzekł jej pomagać i słowa dotrzymał. Poprzez kuzynów – wielkich książąt – spełniał jej prośby i kaprysy.

W styczniu 1895 r. otrzymała tytuł Balety Teatrów Imperatorskich i już w lutym udała się na gościnne występy do Monte Carlo, gdzie odniosła wielki sukces. Była profesjonalistką do szpiku kości. Mimo ugruntowanej pozycji cały czas ćwiczyła pod kierownictwem pedagoga. Skrupulatnie przestrzegała diety, kładła się spać o dziesiątej wieczorem, na dwa dni przed spektaklem nie uczestniczyła w życiu towarzyskim, a na dobę przed spektaklem pozostawała w łóżku. Do teatru przyjeżdżała na 2-3 godziny przed spektaklem, pilnowała skrupulatnej charakteryzacji i rozgrzewania mięśni.

Ze zdumieniem zauważyła, że po ślubie jej Niki przestał bywać na jej spektaklach. Uznano za nieprzyzwoitość uczestnictwo Krześcińskiej w spektaklach, na których bywa młoda carowa. Aby zachować pozo-

ry, rodzina carska bywała na spektaklach w niedziele, a Krześcińska tańczyła w środy. Kiedy się o tym dowiedziała, wymogła zmianę grafiku. Podobnie było ze spektaklem z okazji koronacji. Krześcińskiej nie włączono w skład trupy występującej na uroczystości. Poprzez zakochanych w niej dwu wielkich ksiąząt jednocześnie – wymogła partię solową dla siebie w spektaklu „Żółta perła” i oczarowała moskiewską publiczność.

W 1900 r. odbył się benefis z okazji jej dziesięcioletniej kariery w teatrze Maryjskim. Na bankiecie pojawił się kolejny wielki książę - Andriej Władimirowicz. Znajomość ta szybko przekształciła się w burzliwy i wieloletni romans, który skończył się małżeństwem w 1921 r. na emigracji w Cannes. Rywalizacja w obdarowywaniu kosztownościami stała się jeszcze ostrzejsza. Krześcińska wymogła na dyrekcji teatru prawo tańczenia zaledwie kilka miesięcy w roku. Pozostały czas poświęcała na życie osobiste i gościnne występy w teatrach europejskich. Stroje zamawiała w najbardziej prestiżowych salonach mody w Europie.

W 1901 r. podczas tournée we Włoszech zorientowała się, że jest w ciąży. Mimo to do szóstego miesiąca występowała na scenie. Umiejętnie dobierała pozy (nigdy nie stawiała profilem do publiczności). W 1902 r. na dacy w Strelnie urodziła syna Władimira. Dwaj wielcy książęta byli przekonani, że są ojcami dziecka. Oficjalnie patronimikum dał wielki książę Siergiej. Dacza była prezentem od księcia Siergieja Michajłowicza, był to najbardziej wytworny pałac z parkiem w modnej miejscowości letniskowej, z nowością w postaci generatora prądu i specjalnie dla niej zbudowaną bocznicą kolejową, by zapewnić dyskretny przyjazd gościom. W 1906 r. zaczęła budować ogromny pałac w stylu secesyjnym w Petersburgu, z oświetleniem i ogrzewaniem elektrycznym.

Żyła jak carowa wśród klejnotów, niezliczonej ilości kosztownych toalet. W czasie

pierwszej wojny światowej w wili w Strelnie urządziła lazaret, aktywnie włączyła się w działalność charytatywną na rzecz rannych żołnierzy. Jej wielki majątek najprawdopodobniej rozgrabili marynarze i żołnierze z Rad Robotniczo-Żołnierskich. Z balkonu jej domu W. Lenin ogłosił swoje „Tezy kwietniowe”, a Aleksandra Kołłontaj w swoich futrach gronostajowych i kreacjach spacerowała po ogrodzie wokół jej domu.

W 1907 r. otrzymała zaproszenie do paryskiej Grand Opera. Występy zakończyły się wielkim sukcesem, była gwiazdą rosyjskich sezonów Diagiłewa w Paryżu, które sfinansował ojciec jej przyszłego męża – wielki książę Władimir Aleksandrowicz. Święciła tryumfy w Wiedniu, Budapeszcie, Monte Carlo. Rewolucja lutowa 1917 r. zakończyła jej karierę w Rosji. W lipcu 1917 r. wraz z synem Władimirem i niewielką walizką z najcenniejszymi klejnotami wyjechała najpierw na południe Rosji, skąd w marcu 1920 r. odplynęła do Konstantynopola. Po otrzymaniu wizy francuskiej udała się do Francji.

W Petersburgu pozostał wielki książę Siergiej, aby pilnować jej majątku. Przyplacił to życiem. Został aresztowany przez bolszewików i w 1918 r. rozstrzelany w Ałapajewsku. Matylda Krześcińska z wielkim księciem Andriejem udała się do Europy, gdzie najpierw zamieszkała w Prowansji w Cap-d'Ail, w wili kupionej dla niej przez księcia Andrieja w 1913 r. Dom musiała zastawić za długi; przeniosła się do Paryża. Kiedy w 1920 r. śledczy Sokołow przekazał jej informację o śmierci rodziny carskiej i medalion z jej podobizną, znaleziony przy księciu Siergieju, z jej oczu nie popłynęła nawet jedna łza, stwierdziła tylko „jak to miło z jego strony”.

W styczniu 1921 r. w Cannes, za zgodą wielkiego księcia Kiryła Władimirowicza (który został głową rodu Romanowów na emigracji), odbył się jej ślub w księciem Andriejem Władimirowiczem. Podczas ce-



Rodzina carska

remonii była bardzo wzruszona, bo przypominała jej koronację Mikołaja II. Po ślubie otrzymała tytuł księżnej Romanowskiej-Krasińskiej, a jej syn został oficjalnie uznany za syna Andrieja Władimirowicza. Wreszcie potwierdziła swoje szlacheckie pochodzenie i weszła do wielkiej rodziny koronowanych głów związanych z rodem Romanowów.

W kwietniu 1929 r. otworzyła w Paryżu swoją szkołę baletową. Jej uczennicami były przysze gwiazdy baletu paryskiego i londyńskiego. Wielki książę, jako zawodowy oficer, nie potrafił się odnaleźć w realiach emigranckiego życia; pomagał jej w prowadzeniu szkoły. Namiętnością Matyldy Krzezińskiej pozostała ruletka. W tych kręgach nazywano ją „madame 17”, ponieważ zawsze stawiała na tę liczbę,

wierzyła w numerologię i była przekonana, że jest to jej szczęśliwa liczba (w wieku 17 lat poznała Mikołaja, w 1917 straciła wszystko i siedemnastka miała jej to zwrócić). Podobno hazard pozbawił ją dochodów z dobrze prosperującej szkoły, w której mimo surowej selekcji i wysokiego czesnego, kształciło się ponad sto tancerek.

Wśród jej uczennic były takie gwiazdy jak Yvette Chauviré, Margot Fonteyn i inne. Nie udzielała się publicznie, ciężko pracowała szlifując mistrzostwo przyszłych gwiazd baletu. Tylko raz w 1936 r. zgodziła się na występ publiczny w londyńskim Covent Garden. Zatańczyła tańce rosyjskie z baletu Czajkowskiego i mimo 64 lat odniosła niebywały sukces, 18 razy wywoływano ją przed kurtynę, publiczność zgłotywała jej owację na stojąco. Był to czter-

dziesty szósty rok jej kariery baletowej. Tańczyła także partie w „Jeziorze Łabędzim”, „Karnawale”, „Śpiącej królewnie”. Jej partnerem był Waclaw Niżyński. W prasie pojawiły się entuzjastyczne recenzje.

W 1956 r. w Paryżu wyszły pamiętniki Mikołaja II. Czytała je z wielkim wzruszeniem. Wiele sformułowań było zrozumiałych tylko dla niej. W tym samym roku zmarł jej mąż.

W 1958 r. na gościnne występy do Paryża udał się Teatr Bolszoi. Tancerze otrzymali surowy zakaz spotkania z M. Krześcińską; ona sama siedząc w łożu płakała. Przypomniała sobie tradycję baletu imperatorskiego, którego nie widziała od czterdziestu lat.

W 1960 r. w Paryżu wyszły w tłumaczeniu francuskim jej pamiętniki, które pisała przy wydatnej pomocy męża. Po rosyjsku wydano je w 1992 r., już w innej Rosji. Rosja bolszewicka milczała o niej, rzadko i z pogardą wymieniano jej nazwisko, pogardliwie określając „baletnicą Romanów”, nie nadmieniając, że była najwybitniejszą tancerką swojego pokolenia.

Zmarła 5 grudnia 1971 r., na kilka miesięcy przed swoimi setnymi urodzinami. Pobila rekord długowieczności wśród tancererek. Została pochowana na rosyjskim cmentarzu Sainte-Geneviève-des-Bois obok męża i syna, zmarłego w 1958 r. O ponad pół wieku przeżyła swą pierwszą miłość - Mikołaja II i Imperium, z którego musiała uciekać, jak większość tancerzy i baletmistrzów imperatorskiego baletu klasycznego.

W październiku 2017 roku wszedł na ekrany rosyjskie melodramat historyczny Aleksieja Uczitiela „Matylda”. Rolę tytułową zagrała Michalina Olszańska. Do współpracy nad scenariuszem zaproszono autorów z wielu krajów, w tym z Francji i USA; obsada też była międzynarodowa. Film wywołał wielki skandal. Wszelkimi sposobami blokowano jego rozpowszechnienie. Argumentowano, że kanonizowa-

ny (wraz z całą rodziną) najpierw przez cerkiew prawosławną za granicą w 1981 r. i po długotrwałych sporach przez Rosyjską Cerkiew Prawosławną w 2000 r. Mikołaj II, zyskawszy nimb świętego męczennika, musiał pozostać w oczach prawosławnych osobą bez skazy. Nie mógł być skalany choćby podejrzeniem o romans, ponadto powoływano się na „obrazę uczuć religijnych”, nieścisłości historyczne, mimo że nie był to film dokumentalny.

Rozpowszechnienie filmu natrafiło na wiele trudności. Zdarzały się akty przemocy, wymuszanie rezygnacji z pokazu, w wielu miastach podpalano kina wyświetlające ten film. Ponadto premiera filmu odbyła się w setną rocznicę przewrotu październikowego, co w oczach wielu było jego dodatkowym obciążeniem.

## **Aleksandra Fiodorowna – ostatnia caryowa Imperium Rosyjskiego**

Droga od nienawiści do kanonizacji.

Jest postacią, o której krążą najbardziej kontrowersyjne opinie. Jedni uważają ją za świętą męczennicę, wzór kobiecych cnót, inni za anioła śmierci, który zgubił dynastię i Imperium. Niemal do końca XX wieku pisano o niej jak najgorzej, obwiniając o wszystkie nieszczęścia Rosji – łącznie z upadkiem Imperium. Gdy została kanonizowana wraz z mężem i dziećmi, pojawiają się prawie wyłącznie hagiografie, wynoszące pod niebiosa to, co wcześniej uważano za jej największe wady. Święta męczennica musi być krystalicznie czysta, wolna od wszelkich niedoskonałości. Sprawie dodają pikanterii pogłoski o planowanej kanonizacji Rasputina, chociaż oficjalna cerkiew nie wyraziła swego stanowiska na ten temat.

Alicja Wiktoria Helena Ludwika Beatrix (na jej imię składały się imiona: jej matki oraz czterech ciotek) urodziła się 7 czerwca 1872 r. w Darmstadt. Była czwartą córką i szóstym dzieckiem księcia Ludwika IV Hesseńskiego i Reńskiego oraz księż-



Aleksandra Fiodorowna

ny Alix, córki królowej Wiktorii (chrześnicy Aleksandra III).

Czarne skrzydło śmierci zawisło nad jej dzieciństwem. W wieku pięciu lat straciła brata Fryderyka, który wypadł z okna i mimo niewielkich obrażeń zmarł na wylew krwi do mózgu. Okazało się, że cierpiał na chorobę koburskiej dynastii – hemofilię. Matka popadła w depresję. By ratować jej zdrowie, rodzina udała się w podróż po Europie (Francja, Włochy, Hiszpania, Anglia, dłuższy pobyt w Osborne), ale to nie przywróciło matce równowagi emocjonalnej.

W 1878 r. w listopadzie zmarła na dyfteryt jej starsza siostra. Matka zaraziła się od dzieci i zmarła niecały miesiąc później w wieku 35 lat. Z powodu kwarantanny spalono nie tylko odzież dzieci, ale i wszystkie zabawki, a nowe już nie cieszyły. Szczęśliwe dzieciństwo sześciolatki minęło. Za zgodą ojca w 1879 r. osieroczone przez matkę rodzeństwo na zaproszenie babki zamieszkało w zamku Balmoral na wyspie Wight w Szkocji. Później królo-

wa przewiozła dzieci do zamku Osborne. W marcu 1892 r. w wieku 20 lat Alicja utraciła ojca.

Przyszła carowa miała bardzo krótkie dzieciństwo, naznaczone stratami najbliższych. Wtedy też zaczął zmieniać się jej charakter: coraz rzadziej się uśmiechała, popadała w melancholię, często w głębokiej zadumie spędzała samotnie długie godziny w parku, peszyła się w licznym towarzystwie. Była coraz bardziej zamknięta w sobie i nieśmiała, miała bardzo wąskie grono osób, z którymi czuła się swobodnie. W większym gronie nie lubiła nie tylko śpiewać, a nawet grać na fortepianie. Ten dystans do ludzi, do gwaru życia dworskiego, balów i uroczystości będzie w przyszłości pogłębiał jej izolację na intensywnie funkcjonującym dworze rosyjskim.

Była ukochaną wnuczką królowej. W okresie gdy jeszcze była pogodna, radosna, z uroczymi dołączkami na policzkach, królowa nazywała ją Sunny, „słoneczkiem”, „promyczkiem słonecznym”. Otrzymała wszechstronne wykształcenie. Królowa starannie dobierała nauczycieli dla swoich wnuków. Księżniczka zdobyła dużą wiedzę z dziedziny historii, matematyki, geografii, literatury, historii sztuki. Uczyla się gry na pianinie, języka angielskiego i francuskiego (choć na dworze rosyjskim zarzucano jej słabą znajomość), uczyla się także rysunku, malowania, jazdy konnej, a nawet kwaciarstwa; interesowała się teologią i filozofią.

Ukończyła studia na uniwersytecie w Heidelbergu ze stopniem licencjata filozofii. Jej guwernantką była A. Tacson, która osobiście знаła Goethe'go. Muzyki uczył ją dyrygent Opery Darmstadzkiej; grała mistrzowsko utwory Wagnera i Schumana. Zainteresowanie polityką wpoila jej nauczycielka M. Jackson, (z którą korespondowała przez całe życie). Poza tym wychowanie na dworze apodyktycznej i surowej królowej Wiktorii, życie w duchu purytanizmu – też wpoilo jej wyobrażenie o zakre-

sie władzy monarszej oraz o statusie i obowiązkach żony cesarza.

Królowa wcześniej zauważyła zmiany w jej charakterze. Spostrzegła, że wnuczka utraciła radość życia, swobodę w kontaktach; dlatego miała wiele obaw, czy poradzi sobie z obowiązkami carowej. Mimo, że z pochodzenia była pół Niemką (po ojcu) i pół Angielką (po matce), to z ducha, wychowania i zainteresowań była w pełni Angielką. Te cechy wpoi w przyszłości swoim córkom.

Po raz pierwszy księżniczka Alix jako dwunastoletnia dziewczynka spotkała się z przyszłym carem w 1884 r. na ślubie starszej siostry Elly (Jelizawiey Fiodorowny), która wyszła za mąż za wielkiego księcia Sergieja Aleksandrowicza, wuja Nikołaja, brata Aleksandra III. Miała zaledwie 12 lat i już wtedy zwróciła na siebie uwagę następcy tronu. Po raz drugi spotkali się w Petersburgu zimą 1889/1890 podczas jej sześciotygodniowej wizyty u siostry. Wówczas car podarował jej brylantową broszkę, którą wyprosił u matki (później bardzo żałowała, że nie zapytała syna, kto jest osobą obdarowaną). Wtedy Mikołaj upewnił się o sile swoich uczuć do ukochanej Alix. W 1890 r. wróciła do Darmstadt, gdzie pełniła funkcję *first lady* na dworze owdowiałego ojca. W prowadzeniu intensywnej korespondencji zakochanym pomagała siostra i jej małżonek.

Alix, która była gorliwą luteranką, w wieku 16 lat była confirmowana (ojciec urządził na tę okoliczność wielkie przyjęcie, ostatnie dla Alix w gronie rodzinnym). Żywo interesowała się religią i konwersja na prawosławie była według niej zadaniem nie do pogodzenia z jej światopoglądem. W tej sprawie Mikołaj udał się do Koburga, ale jego argumenty nie odniosły skutku. Do zmiany zdania długo przekonywali ją ciotka Maria Meklemburska (Maria Pawłowna – żona wielkiego księcia Włodzimierza Aleksandrowicza) i kuzyn Wilhelm.

Wyrosła na piękną wysoką, bardzo zgrabną szatynkę o profilu „rzymskiej kamei”, o dużych szarobłękitnych oczach, pełną wdzięku i gracji. Mankamentem jej urody były wąskie, często zaciśnięte usta. Z powodu choroby układu krążenia przybierały granatowy odcień. Na dworze rosyjskim nazwano je „zmijowymi”. Jej uśmiechy nie zyskiwały jej sympatii, odbierano je jako drwinę, ironię. Jej smutek interpretowano jako złość. Mimo atrakcyjnej aparycji nie umiała i nie chciała podobać się otoczeniu.

Wcześniej o przyszłości Alix próbowała zdecydować królowa Wiktorja, która w 1890 r. chciała doprowadzić do jej małżeństwa z księciem Clarence i Avondale Albertem Victorem, ale Alix kategorycznie odmówiła. Ostatnią próbę królowa podjęła w 1891 r., aranżując związek z księciem Maksymilianem Badeńskim. I tym razem próba skończyła się fiaskiem.

Królowa Wiktorja niezbyt życzliwie odnosiła się do Rosji od czasu wojny krymskiej (imperja miały przeciwstawne interesy) i bardzo krytycznie do carskiego dworu. Bardzo obawiała się o losy wnuczki, mimo że narzeczony bardzo się jej podobał (podobnie jak niegdyś jego dziadek Aleksander II). Wnuczka ze swoją melancholią coraz bardziej przypominała jej córkę i obawy królowej, czy wnuczka poradzi sobie z czekającymi ją obowiązkami, narastały. Królowa chciała wysondować zamiary rodziny carskiej i napisała list do Jelizawiey Fiodorowny (siostry Alix). Kiedy otrzymała uspokajającą odpowiedź, zaniechała dalszego swatania.

Gdy Mikołaj dowiedział się planach matrymonialnych królowej, wpadł w depresję. Aby go ratować, rodzina carska zorganizowała dlań podróż na Daleki Wschód, która nieomal zakończyła się tragedią (nieudany zamach na cara dokonany przez szaleńca-policjanta). Mikołaj do końca życia zachował uraz do Japończyków, nazywając ich „makakami”, co było dodatkowym

bodźcem do wplątania Rosji w nieszczęsną wojnę rosyjsko-japońską.

Strona rosyjska też miała inne plany wobec następcy tronu. Panowanie Aleksandra III przebiegało pod znakiem przyjacielskich kontaktów z Francją i dlatego pożądaną kandydatką była księżniczka Helena Luiza Henrietta Orleańska, córka pretendenta do tronu francuskiego. Słynęła z urody i intelektu. „Washington Post” pisał o niej: „była wcieleniem kobiecego wdzięku, zdrowia, wspaniałą sportsmenką i czarującą poliglotką”. Postawa Mikołaja była nieugięta: albo Alix, albo rezygnacja z tronu.

Dwór rosyjski podjął jeszcze jedną próbę. Tym razem pretendentką była księżniczka pruska Małgorzata; efekt ten sam. Dynastia Hessen-Darmstadt miała bardzo niską ocenę w kategoriach politycznych, nie gwarantowała żadnych korzystnych aliansów dla państwa i dynastii. Mikołaj nad władzę przedkładał małżeństwo z miłości i nigdy nie rezygnował z wybranki serca. Jego żelazna konsekwencja i nieuleczalna choroba cara skłoniły rodziców do zmiany stanowiska.

Zaręczyny zostały ogłoszone na weselu brata Alix, księcia Ernesta Heskiego w Koburgu 20 kwietnia 1894 r., w którym uczestniczyli przedstawiciele wszystkich europejskich dynastii. Jedną z jej siostr (Irena) wychodziła za mąż za księcia Henryka Pruskiego, brata kajzera Wilhelma II. Następnie rodzina carska opublikowała manifest o zaręczynach następcy tronu Mikołaja w dniu 28 kwietnia 1894 r. W dniu zaręczyn Alix zanotowała w dzienniku Mikołaja: „ja jestem twoja, ty jesteś mój, bądź o tym przekonany, ty jesteś w moim sercu, kluczyk wyrzucony i ty na zawsze tam pozostaniesz”. Duchowny Joann Janiszyn rozpoczął przygotowania do jej konwersji na prawosławie.

Początkowo ślub planowano na lato 1895 roku, ale los nie dał im nawet tych kilku miesięcy na przygotowanie się do uroczystości. O ich przyspieszonym tempie



Car Mikołaj II

przesądziła śmiertelna choroba cara Aleksandra III. Pod koniec września otrzymała telegram wzywający ją do przyjazdu do Liwadii, by umierający car mógł udzielić błogosławieństwa narzeczonym – synowi i przyszłej carowej. Przybyła tam w 10 października. Już podczas ostatnich dni choroby cara pokazała swój charakter, wpisując do jego pamiętnika, aby wymógł, żeby nawet informacje o stanie zdrowia umierającego monarchy najpierw przekazywano jemu, a nie małżonce cara – Marii Fiodorownie. Jest pierwszą i najważniejszą osobą w państwie i żeby nie pozwalał nikomu o tym zapominać.

Dwudziestego października nastąpił zgon cara. Zaledwie w pięć godzin po śmierci Aleksandra III dwór złożył przysięgę na wierność nowemu carowi – Mikołajowi II. Wszystko odbywało się w niespokojnym dotychczas tempie, często z naruszeniem utrwalonych tradycji, można powiedzieć, że nie tylko nowa carowa, ale i konserwatywny dwór znalazł się w nowych realiach.

Cień śmierci towarzyszył jej od dzieciństwa do zamęścia. Wraz z rodziną carską pozostała w Liwadii po śmierci cara. Tam też 2 listopada odbył się obrzęd przejścia na prawosławie, gdzie otrzymała imię Aleksandra Fiodorowna. Akt wiary wyrecytowała płynnie i prawie bezbłędnie. Mimo, że byli krewnymi trzeciego stopnia, tym razem cerkiew nie zgłosiła żadnego sprzeciwu. Później uczestniczyła w uroczystościach żałobnych oraz przewiezieniu trumny ze zwłokami do Petersburga i w uroczystościach pogrzebowych.

Ponieważ zgodnie z zasadami rosyjskimi car nie mógł być kawalerem, trzeba było gwałtownie przyspieszyć bieg wydarzeń, by na tronie zasiadł żonaty monarcha. Mimo, że było to małżeństwo z miłości, a nie z racji dynastycznych, zostało podporządkowano rygorom dworskim. Z uczuciami młodej małżonki nikt się nie liczył.

Tuż po pogrzebie 14 listopada w wielkiej cerkwi Pałacu Zimowego odbył się ślub Aleksandry i Mikołaja II, następnie nabożeństwo w Soborze Kazańskim (skorzystano z okazji, że w dniu urodzin carowej wdowy Marii Fiodorowny można było zawiesić żałobę i post), ale nie urządzano żadnych uroczystych przyjęć, balów. Był to swoisty koktajl radości i żałoby; była jedyną osobą w białej sukni na tle czarnych, żałobnych kreacji.

Miodowy miesiąc małżonków był wypełniony niezliczonymi nabożeństwami żałobnymi i związanymi z tym uroczystościami. Dwór bacznie obserwował nową carową. Młoda para zamieszkała wraz z Marią Fiodorowną w Pałacu Aniczkowski. Później rodzina zamieszkała w Pałacu Aleksandrowskim w Carskim Siole, gdzie Aleksandra Fiodorowna starała się stworzyć szczęśliwe ognisko domowe z dala od natrętnego dworu.

Zaczęto przygotowania do uroczystej koronacji, która odbyła się po zakończeniu żałoby w maju 1896 r. w Uspeńskim Soborze moskiewskiego Kremla. Mimo że pod-

czas samej koronacji nic nie wróżyło nie-szczęścia, pech nadal prześladował młodego cara i carową. Podczas uroczystości doszło do tragedii. Zgodnie z dawną tradycją, oprócz przyjęć dla dyplomatów i arystokracji w pałacach urządzano poczęstunek dla ludu. Ktoś puścił pogłoskę, że zarówno wódka jak i tzw. „carskie upominki” (a propos bardzo skromne), będą limitowane. Na uroczystość przybyło ponad pół miliona osób, wszyscy się tłoczyli na Placu Chodyńskim (był to poligon wojskowy, po niedawnych manewrach nie zasypano wykopanych tranzei). Tłum napierał i w tym ścisku zginęło wskutek zdeptania ponad 1600 osób; było też wielu rannych.

W tym samym dniu odbywał się bal w ambasadzie Francji (do końca życia cara Aleksandra III zaprzyjaźnionej z Rosją i dążącej do kontynuacji tej polityki). Tutaj istnieją sprzeczne informacje historyków. Jedni twierdzą, że car chciał zrezygnować z udziału w balu, ale członkowie rodziny carskiej nalegali w imię interesów kraju; inni, że zażądała tego Aleksandra Fiodorowna w imię prestiżu nowego cara. Mimo, że następnego dnia para carska odwiedziła wszystkich rannych w szpitalach, udzieliła im pomocy materialnej i pokryła z własnych środków koszty pogrzebów ofiar, za nową carową ciągnął się welon fatum – pierwszy taki incydent na koronacji.

Większość czasu rodzina carska spędzała w pałacu Aleksandrowskim w Carskim Siole. Nieszczęściem Aleksandry Fiodorowny było to, że nie odbyła swoistego „stażu” w roli wielkiej księżny – żony następcy tronu. Maria Fiodorowna przez 14 lat była wielką księżną, żoną następcy tronu. Niezależnie od usposobienia, bezpośrednio, łatwości w nawiązywaniu kontaktów, poznawała ona dwór i jego zwyczaje, rodzinę carską. Rodzina przyzwyczajała się do niej, a ona zbierała krąg zwolenników, poznawała rosyjskie tradycje, zyskiwała sympatię stolicy, arystokracji, społeczeństwa. Miała zaufane damy dworu, orientowała się w in-

trygach dworskich i grach zakulisowych, uzyskiwała wsparcie osób wpływowych. Tej szansy nie miała ostatnia carowa, zupełnie nieznająca Rosji, jej mentalności i tradycji. „Z marszu” została carową, bez swojego dworu, bez przygotowania do czekającej ją roli w nieznanym warunkach obyczajowo-histerycznych. Przeszkodziła jej też egzaltacja, lodowata postawa i chorobliwa ambicja. Sama prowadziła do coraz większego wyobcowania z dworu i społeczeństwa.

W 1896 r. nowa carska para odwiedziła Rosyjską Wystawę Przemysłową w Nowogrodzie, następnie odbyła podróż po dworach europejskich, które miały szczególne znaczenie dla polityki rosyjskiej – Niemcy, Dania, Austro-Węgry, Wielka Brytania, Francja. W ojczyźnie od początku była odbierana bardzo niezyczliwie. Pozytywnie wypowiadano się jedynie o jej sylwetce, pięknych włosach, o jej urodzie. W szczegółach zaś widziano same mankamenty. Na przykład, jak już wspomniano, wąskie usta z granatowym odcieniem, będące objawem choroby wieńcowej, określano jako „żmijowe”; wrodzoną nieśmiałość uważano za wyniosłość. Niewyleczone zapalenie korzeni nerwów rdzeniowych, utrudniające poruszanie się i pociągające za sobą konieczność korzystania z wózka inwalidzkiego – za niechęć do uczestnictwa w życiu dworskim, pogardę dla dworu.

To, że nie stosowała upiększających kosmetyków, nie robiła koafiur z zastosowaniem sztuki fryzjerskiej, poza bardzo uroczystymi okazjami dworskimi, traktowano jako pogardę dla etykiety. Przez całe życie stosowała delikatne perfumy „biała róża”, wodę toaletową „werbena” firmy Atkinson. Nie obwieszała się klejnotami, uwielbiała natomiast perły. Miała mankament organizmu „zabijający perły” (mętniały na jej szyi). Nawet w podróży zawsze towarzyszyła jej silnie pocąca się chłopka, która sypiała w jej klejnotach, które dzięki temu odzyskiwały blask, natomiast służba tylko w rękawiczkach mogła dotykać jej kreacji,

obuwia, przedmiotów osobistych. Poza tym carowa brzydziła się służących.

Rolę pierwszej damy mimo upływu lat nadal odgrywała pełna wdzięku i uwielbiana przez dwór Maria Fiodorowna, dokładne przeciwieństwo młodej synowej. Dlatego też Aleksandrę Fiodorownę pochłaniała dobroczynność i sprawy rodzinne. Zgodnie z rosyjską tradycją była szefową kilku pułków. Zajęła się też działalnością dobroczynną. Twierdzono, że wrodzona niechęć Marii Fiodorowny do Niemców nie pozwoliła jej polubić synowej. Mało prawdopodobne.

Synowa pół-Niemka z pochodzenia nie potrafiła odnaleźć się na dworze. Jej usprawiedliwieniem może być to, że wszystkie jej poprzedniczki miały dużo czasu, by „nauczyć się” dworu rosyjskiego. Aleksandra Fiodorowna była często nieodgadniona w swych emocjach, pogrążona w przeżyciach i emocjach niezrozumiałych dla otoczenia, wydawała się nadmiernie wrażliwa, a jednocześnie lodowata i wyobcowana.

Postanowiła na wzór brytyjski zorganizować organizację dobroczynną stworzoną z dam dworu i środowisk wokół dworu. Damy miały uszyć po trzy sukienki w roku dla sierot, wcześniej zorganizowała koła rękodziela. Damy dworu przyzwyczajone do plotek i intryg, nie przyzwyczajone do prac użytecznych, nie spełniły oczekiwań carowej. Tym bardziej, że ich aktywność nie była nagradzana żadnymi profitami, nawet oficjalnym podziękowaniem carowej. Rozpowszechniano informację, że oddając używane sukienki córek na aukcje dobroczynne odcinała perłowe (kosztowne) guziki i zastępowała je tanimi z kości. Nie sprzedane na aukcjach charytatywnych sukienki sprzedawała handlarzom starzyzny, z którymi podobno targowała się jak przekupka. Córki nosiły proste, białe i tanie sukienki, które kupowała na raty. Celowości takiego postępowania nie potrafiła wyjaśnić; nawet Rasputin zarzucał jej skąpstwo w tej dziedzinie. Córki mieszkaly po dwie

w jednym pokoju, mimo, że Pałac Zimowy miał 1050 komnat.

Carowa tolerowała tylko pastelowe kolory. Lubiła barwy bzu i lilii, ale tylko w wystroju pomieszczeń. Te samoograniczenia na najbogatszym dworze Europy nie przysparzały jej popularności, a wręcz oburzały carową wdowę. Robiła wyrzuty synowi – bez rezultatu. Nowa carowa nie rozumiała, dlaczego nikt nie docenia jej gospodarności. Sama często porównywała się do Katarzyny II; w czym utwierdzał ją Rasputin sugerując jej, że mogłaby zostać jej następczynią w roli regentki przy niepełnoletnim carewiczu. O samym Mikołaju II wyrażał się bardzo pogardliwie.

W odróżnieniu od Katarzyny II nie rozumiała Rosji, bała się jej, nie poznała jej specyfiki; inna sprawa, że nie miała na to czasu, ani nie widziała takiej potrzeby. Pozory traktowała jak rzeczywistość. Mistycznie wierzyła w świętość prostego ludu i jego bezinteresowną miłość do rodziny panującej.

Również nie udało się jej stworzyć pracowni rękodziela i rzemiosł odchodzących w przeszłość dla wiejskich dziewcząt i młodych mniszek, dla których utworzyła dwuletnie szkoły zawodowe, by na wsiach i w klasztorach uczyły odchodzącego w przeszłość rzemiosła wiejskie dziewczęta i kobiety upadłe. Również niepowodzeniem zakończyła się inicjatywa utworzenia domów pracy dla bezrobotnych kobiet i mężczyzn.

Główną przeszkodą była niepopularność carowej w narodzie i obcość w społeczeństwie zasad resocjalizacji i luterńskiego kultu pracy znanych od dawna na Zachodzie Europy. Poza tym carowa wizytując podległe jej instytucje charytatywne zachowywała się wyniosłe, nie widziała potrzeby wyrażenia komukolwiek choćby słowa podziękowania. Uważała, że jeśli jest dobrze, to znaczy, że wszyscy spełniają należycie swoje obowiązki i nie ma potrzeby za to dziękować. Podobnie nie musi wy-

słuchiwać opinii o problemach takich płacówek. To bardzo kontrastowało z postawą Marii Fiodorowny, która nawet krytyczne uwagi wygłaszała z wdziękiem i w cztery oczy, nie zyskiwała wrogów, a chwaliła publicznie i nagradzała.

Od urodzenia pierwszego dziecka zła mała tradycję rodzinną: nie korzystała z mamek, lecz sama karmiła piersią swoje dzieci. W 1895 r. przyszła na świat córka Olga, dwa lata później córka Tatiana, w 1899 córka Maria, w 1901 r. córka Anastazja. Córki były wychowywane w surowych purytańskich zasadach prostoty, miłosierdzia, nosiły bardzo skromną odzież. Na śniadanie owsianka, mycie w zimnej wodzie rano, bardzo skromne, zdrowe obiady z wyłącznie gotowanym chudym mięsem, ciepła kąpiel tylko wieczorem. Pokoje często wietrzone (przy rosyjskim klimacie), wąskie łóżka z twardym materacem, bez poduszek. Posiłki prawie zawsze rodzinne (bez zaproszonych członków dworskiej świty). Dzieci zasiadały do stołu wraz rodzicami, a nie z guwernantkami.

Naród wciąż czekał na salwę 300 wystrzałów z twierdzy Pietropawłowskiej (oznajmienie o narodzinach następcy tronu), a nie 101 jak dotychczas. Niestety, w 1901 r. znów urodziła się kolejna córka – Anastazja. Rodzina carska była zrozpaczona, choć car cieszył się z narodzin każdego dziecka; carowa czuła się winna, że nie spełnia pokładanych w niej nadziei.

Zgodnie ze swoimi skłonnościami do mistycyzmu i zainteresowaniem okultyzmem wszędzie rozpaczliwie szukała szans na zrealizowanie oczekiwań – urodzenie następcy tronu. Tutaj carowa wpadła w sieć różnych szarlatanów, mistyków lub zwykłych oszustów. Modliła się przy świętych ikonach, które kolekcjonowała od początku przejścia na prawosławie. Ściany jej sypialni, buduaru od sufitu do podłogi były zawieszane kolejnymi „namodlonymi” ikonami (było ich ponad 700) i krucyfikami.

Coraz bardziej angażowała się w ruch mistyczny, szukała odrodzenia duchowego.

Na przełomie wieków w Petersburgu nastąpiła moda na wszelkiego typu magów, wróżbitów, spirytystów, cudotwórców, uzdrowiaczy, hipnotyzerów. Carowa żywo zainteresowała się nowinkami; tym bardziej, że trafiały na podatny grunt. Z inicjatywy córek króla Czarnogóry, Milicy i Anastazji (żon wielkich książąt), w 1901 r. sprowadzono francuskiego szarlatana Philippe'a Vachota. Carowa uwierzyła w jego moc, oczekując upragnionego potomka.

Carowa ściśle przestrzegła jego zaleceń. Przestała nosić gorset, nosiła suknie ciężowe, większość okresu ciąży spędzała w łóżku. Odsunęła nadwornego lekarza, nie pozwalała na żadne badania. Kiedy okres ciąży się przedłużał, wreszcie zgodziła się. Okazało się, że nie była brzemienna, lecz była to ciąża urojona. Nawet wtedy, gdy władze Francji ściagały szarlatana, udowadniając, że nie ma żadnego wykształcenia medycznego i we Francji jest skazany za oszustwo, zdeterminowana carowa go broniła.

Szarlatanowi przyznano ochronę na najwyższym poziomie, za jego bezpieczeństwo odpowiadał minister spraw wewnętrznych i komendant ochrony pałacu. Generał Kuropatkin w imieniu Petersburskiej Akademii Wojskowej przyznał mu tytuł doktora nauk medycznych, a car stanowisko rzeczywistego radcy stanu. Szalbierz nawet zamówił sobie mundur medyka wojskowego; na szczęście niedługo się nim cieszył.

Po Petersburgu rozeszły się słuchy, że carowa urodziła potwora z rogami, który natychmiast został uduszony. Cytowano słynną bajkę Puszkina „O carze Saltanie”. Kilka lat wcześniej (jeszcze za panowania Aleksandra III) pojawił się inny szarlatan, pochodzący z Buriacji uzdrowiciel Badmajew, jakoby specjalista od medycyny tybetańskiej. (Później będzie ściśle współdziałał z Rasputinem: jeden hipnotyzował, drugi zapewniał stosowne mikstury.)

Miał on już swoje sanatorium, w którym „leczył” wielu przedstawicieli ówczesnej śmietanki towarzyskiej, szukającej nowinek, przyszlých dygnitarzy rekomendowanych przez Rasputina. Swoją pozycję (i sanatorium) zachował aż do 1917 r. Jak twierdził S. Witte, „jego leczenie zawsze wiązało się z intrygami, polityką i dużymi pieniędzmi”. Szybko zaczęła się jego swoista kooperacja z Rasputinem i ministrem spraw wewnętrznych. Z jego specyfików korzystała rodzina carska.

Jak opowiadał Rasputin, zalecał carowi jakieś tajemnicze zioła, po których uspokojony, rozanielony car poddawał się woli otoczenia (była to mieszanka opium, kokainy, morfiny i innych barbituranów). Sam car często zasięgał jego opinii w sprawach politycznych, państwowych. Carowa skrupulatnie przestrzegła jego zaleceń, sama zażywała jego specyfiki, ponadto wymuszała na doktorze Botkinie przepisywanie jej weronału i środków odurzających, oraz stosowała „cudowną” miksturę zaleconą przez jedną z „jurodiwych” (mieszankę wody święconej, wody ze świętego źródła i krwi gołębiej w równych proporcjach). Należało ją pić i kropić pościel, miała ona zapewnić narodziny następcy.

Później pojawiły się cztery ślepe mniszki z Kijowa, które polewały pościel wodą betlejemską z czterech tajemniczych butelek. Lista różnej maści oszustów, wróżek, zaklinaczek, zdejmujących uroki była długa. Każdego carowa traktowała jak wysłannika niebios, które wysłuchały jej modlitw. Mimo filozoficznego wykształcenia święcie wierzyła w tzw. jurodiwych (według rosyjskiej tradycji „świętych szaleńców”, nawiedzonych). Była przekonana, że przez ich bełkot w napadzie epilepsji czy trans pijacki słyszy głos Boga. Odpytywała ich o płeć przyszłego dziecka.

Obrzędy jednego z „jurodiwych” budziły obrzydzenie; np. swoista „komunia” – wypluwał przeżute resztki jedzenia i podawał carowej i jej córkom. Kiedy najstarsza

Olga skarżyła się na mdłości, była bezstanna przez carową za nieposłuszeństwo. Inna „jurodiwa” regularnie się upijała i w napadzie „białej gorączki” wystraszyła nawet carową, która zrezygnowała z jej usług.

Do udziału we wszystkich tych obrzędach zmuszała cara, poddawała go niektórym „procedurom”. Postępowanie carowej było komentowane na salonach petersburskich, budziło niepokój i grozę racjonalnej Marii Fiodorowny. Jej rozmowy z carem nie przynosiły skutku. Car powtarzał żonie ich treść, a niechęć między obu kobietami narastała.

Aleksandra Fiodorowna pielgrzymowała po Rosji do wszystkich miejsc uznanych za święte. Kiedy dowiedziała się o świętym pustelniku Serafimie z Sarowa, doprowadziła do jego kanonizacji w 1903. Uczestniczyła też w bardzo uroczystej procesji przenoszącej jego szczątki. Zażywała kąpieli w świętym źródle i w jej przekonaniu stał się cud – zaszła w ciążę. Po roku (1904) urodził się tak oczekiwany i upragniony następca tronu – Aleksy; tak nazwany ku czci drugiego cara z dynastii Romanowów – Aleksęgo Michajłowicza.

Radość nie trwała długo. Zaniepokojenie lekarzy budził krwawiący pępek noworodka. Diagnoza była straszna. „Przekleństwo Koburgów” się spełniło. Okazało się, że dziecko cierpi na hemofilię, na którą cierpią męscy potomkowie. Choroba była utrzymywana w wielkiej tajemnicy; nie wiedział o niej nikt, nawet z najbliższej rodziny carskiej. Znów zaczęło się poszukiwanie cudu. W 1905 r. carowa dowiedziała się o cudownych zdolnościach mnicha, pątnika do miejsc świętych. Był to niejaki Grigorij J. Nowych (do historii przeszedł jako Rasputin, że względu na styl życia), z którym znów poznały rodzinę carską Milica i Anastazja, zafascynowane człowiekiem z ludu, który doprowadzi do duchowego odrodzenia Rosji. Carowa natychmiast uznała go za posłannika niebios i wcielenie zmarłego niedawno „doktora Phillipe’a”.

Carowa coraz częściej odsuwała się od obowiązków i ceremonii dworskich, co było odbierane jako zimna wyniosłość. Zastępowała ją teściowa – Maria Fiodorowna, której popularność jeszcze bardziej rosła. Aleksandra ukrywała swoje kłopoty ze zdrowiem, problemy z sercem i korzonkami, coraz częściej korzystała z wózka inwalidzkiego. Członkowie rodziny carskiej (przed którymi także skrzętnie ukrywano stan rzeczywisty jej zdrowia) przypisywali jej lekceważenie monarszych obowiązków. Tutaj okazało się, jak mało знаła tę „duszę rosyjską”. Gdyby społeczeństwo wiedziało o jej problemach, nikt by jej nie potępił, wszyscy by współczuli i wielbili cierpiącą carową, której problemy byłyby bliskie wielu rodzinom. Wyszło dokładnie na odwrót. Niechęć do niej narastała. Aleksandra Fiodorowna coraz bardziej zamykała się przed otoczeniem. Oprócz cara i zaufanej damy dworu, dość prymitywnej Anny Wyrubowej, nikomu nie ufała. Plotki przekroczyły nie tylko mury pałacu, ale i rogatki stolicy.

W 1903 r. odbył się ostatni bal kostiumowy w historii Imperium. Wszyscy byli przebrani w kostiumy z epoki pierwszego cara z dynastii Romanowów Aleksego Fiodrowicza. Rozpoczęto uroczystości związane z obchodami trzzechsetlecia Imperium. Car wystąpił w kostiumie jego ulubionego cara Aleksego Michajłowicza, carowa w kostiumie carycy Marii Miłosławskiej. Uciszyły się słuchy o kresie dynastii (jakoby żadna dynastia w Europie nie panowała dłużej niż 300 lat) i wszyscy z nadzieją patrzyli w przyszłość, którą zapowiada pojawienie się następcy tronu.

Carowa zajęta wychowywaniem dzieci jest wzorową matką, ignoruje ceremoniał, rzadko się pojawia publicznie, jej wyniosła obecność też nie przysparza jej sympatii. Pojawienie się w 1905 r. na dworze Grigorija Rasputina, „bożego człowieka”, „Naszego Przyjaciela” – w pewnym sensie przesądziło o losie rodziny Romanowów, całej dynastii i Imperium. Rasputina do pała-

cu carskiego przywiódł spowiednik rodziny carskiej, rektor Petersburskiej Akademii Teologicznej biskup Teofan.

Grunt pod pojawienie się Rasputina był przygotowany atmosferą w salonach stolicy, szczególnie wśród ich damskich przedstawicielek. Rasputin doskonale wyczuł oczekiwania i znakomicie je wykorzystał, choć początkowo był zaskoczony swą niebywałą popularnością. Jak sam wspominał, wożono go po salonach jak rajskiego, egzotycznego ptaka; i choć ozłocił się jego los, to wiele stracił ze swej chłopskiej swobody.

Księżę Feliks Jusupow (jego przyszły zabójca) podkreślał jego wielką siłę hipnotyzerską. Poznał go w 1909 r., kiedy leczył go z homoseksualizmu; ale kiedy Rasputin, pewny swej siły, zaczął ingerować w jego życie osobiste, sprzeciwiając się małżeństwu z krewną cara, wielką księżną Iriną, znajomość została zerwana.

Rodzina Jusupowów zajmowała szczególną pozycję wśród elity rosyjskiej. Księżna Zinaida Jusupowa nie tylko słynęła z urody, kultury i intelektu, ale była najbogatszą kobietą Imperium (jej fortuna znacznie przewyższała carską). Swój ród wywodziła od proroka Mohammeda, była zaprzyjaźniona z Marią Fiodorowną i wieloma członkami klanu Romanowów. Od początku nienawidziła Rasputina i próbowała ich przekonać do usunięcia tego awanturnika z dworu.

Choroba Aleksego nadal była utrzymywana w wielkiej tajemnicy. Tylko car i carowa wiedzieli, jak jest niebezpieczny choćby najmniejszy uraz. Zamiast wtajemniczyć rodzinę – carowa izolowała go od innych dzieci z rodziny w obawie, że zdrowe, rozbrykane dzieci podczas zabawy mogą doprowadzić do kontuzji. Nie pozwalała na zabawy z rówieśnikami – co też pogłębiło niechęć do carowej. Nikt nie rozumiał, dlaczego kilkuletniego chłopca nosi na rękach rosły marynarz, dlaczego bawi się tylko z siostrami, dlaczego stroni on od rówie-

śników. Przecież chciał być takim jak rówieśnicy i sam nie rozumiał swej sytuacji.

Dopiero w 1912 r. carowa uchyliła rąbka tajemnicy niektórym członkom rodziny, nie ujawniając jednak szczegółów. Wierzyła, że „Boży Człowiek” go uleczy. Ponoć nawet na odległość potrafił powstrzymywać krwotoki (przypadek w Spale), czy stojąc w nogach łóżka i mamrocząc jakoby modlitwy, bez dotykania cierpiącego chłopca uśmierzał ból. Carowa coraz bardziej podporządkowywała się jego woli.

Po Petersburgu rozeszły się słuchy o romansie carowej z Rasputinem, których nie tylko nie dementował sam zainteresowany, a wręcz je podsycił, pokazując jedwabne koszule – jakoby haftowane ręką carowej. Podczas pijackich orgii publicznie wypowiadał się o carowej w sposób bardzo poufały. Niepopularną carową zaczęto nie tylko nienawidzić, wręcz nią gardzono; nikt z rodziny carskiej nie tolerował jej ostatniej pasji. Oliwy do ognia dołączyła pierwsza wojna światowa.

Rasputin był przeciwnikiem wojny, o jej rozpętanie oskarżał Mikołaja II, carową przekonywał o jego niezdolności do sprawowania władzy. Mówił, że sama powinna odsunąć go od władzy, zostać regentką przy małoletnim carewiczu, zakończyć jak najszybciej wojnę. Stał się nie tylko uzdrowicielem, ale i politykiem. Sama carowa wraz ze starszymi córkami w latach wojny ukończyła kursy chirurgiczne, uczestniczyła w licznych operacjach, amputacjach, osobiście przemywała rany. Jak stwierdzili świadkowie, znacznie odmłodziła, poruszała się lekko, zachowywała się, jakby ubył jej lat. W Pałacu Zimowym i w innych pałacach carskich sale reprezentacyjne przeznaczyła na lazarety. Była całkowicie pochłonięta działalnością charytatywną, uważała że wszystko musi robić osobiście.

Niestety, jej aktywność nie ograniczyła się tylko do tej sfery. Zaczęła coraz aktywniej ingerować w sprawy państwowe, wy-

musząc na carze nierozsądne decyzje polityczne i kadrowe. Wymusiła na nim dymisję bardzo popularnego w armii wielkiego księcia Nikołaja Nikołajewicza (stryja cara), mającego ogromne doświadczenie i autorytet wśród oficerów, pełniącego funkcję głównodowodzącego 15 milionowej armii.

W połowie 1915 r. Mikołaj II opuścił wzburzony Petersburg i wyjechał do sztabu w Mohyłowie. Carowa obawiała się, że sława „Nikołaszki” zaćmi sławę cara; o wszystkie niepowodzenia w pierwszym okresie wojny obwiniła właśnie jego. Stwierdziła, że car swoim autorytetem wszystko naprawi. Nikołaszka został zesłany na Kaukaz. Tam wraz z generałem Judeniczem odniósł wiele sukcesów. O talentach wojskowych cara nawet rodzina nie miała wysokiego mniemania. Nazywano go lekceważąco „pułkownikiem”.

W jednej ze swoich przepowiedni Rasputin powiedział carowej: „Jeśli umrę, lub gdy mnie opuścicie, w pół roku stracie syna i koronę”. Ta przepowiednia akurat się spełniła. Lecz tymczasem władza spoczywała w rękach carowej i Rasputina. Car ufał jej całkowicie, w listach pisał, że jest szczęśliwy, że została jego oczami i uszami w stolicy.

Rządy zaczęła od spraw mniejszej wagi, nie budujących autorytetu. Wymusiła na szefie sztabu generalnego zwolnienie ze służby wojskowej syna Rasputina, Dymitra, przyjęcie jego córki Matrony do Instytutu Smolnego (duma wszystkich jej poprzedniczek i ich osobisty patronat, w którym miały prawo uczyć się wyłącznie dziewczęta ze stanu szlacheckiego), bez jakichkolwiek egzaminów i dokumentów. Na znak protestu hrabina Lieven, która ponad 20 lat kierowała Instytutem, podała się do dymisji. Carowa dymisję przyjęła.

Carowa wzywała ministrów na audyencję i żądała składania jej raportów. Zaczęła żądać od cara rozpuśczenia Dumy Państwowej i wysłania jej deputowanych na front. Na najwyższych szczeblach władzy

państwowej zaczęła się istna karuzela stanowisk. Tylko w okresie od połowy 1915 r., mimo wojny, z inicjatywy Rasputina zmieniło się sześciu ministrów spraw wewnętrznych (jeden z nich stracił stanowisko za niepochlebny artykuł o Rasputinie, drugi za udział w intrydze przeciwko niemu). Zdymisjonowano czterech ministrów sprawiedliwości, trzech premierów, trzech ministrów wojny. Wielu członków rady ministrów wcześniej było pacjentami uzdrowiciela Badmajewa. Sprawa Rasputina była nawet przedmiotem debat w Dumie Państwowej i w Świętym Synodzie. Tylko car nie podejmował żadnych konstruktywnych decyzji, posłusznie dymisjonował lub nominował kandydatury wskazane przez carową i „Naszego Przyjaciela”.

Dochodziło do paradoksów, gdy zdymisjonowanego ministra jednego resortu „z powodu utraty zaufania” powoływano na inny resort, ponieważ nie można było znaleźć odpowiedniego kandydata. Najdłuższy staż ministerialny wynosił siedem miesięcy. Niektórzy sprawowali urząd zaledwie dwa miesiące. Premier Trepow zaledwie czterdzieści siedem dni. Minister spraw wewnętrznych urządzał seanse spirytystyczne, aby zapytać o zdanie ducha Rasputina.

W kraju panował kompletny chaos, carowa histerycznie reagowała na krytykę. Kiedy jeden z wielkich książąt (bliski krewny cara) w listopadzie 1916 r. poinformował monarchę o nastrojach w stolicy i w rodzinie Romanowów, Mikołaj przesłał list żonie; ta zaś w obelżywych słowach zażądała zesłania go na Syberię. Księżna Jusupowa (nazywała carową określeniem „walida”, o carze mawiała „walidol”) próbowała rozmawiać nie tylko z Marią Fiodorowną, ale i z siostrą Aleksandry Fiodorowny o próbach ratowania kraju i rodziny. Skończyło się komentarzem: „świętych zawsze szkalują” i zerwaniem z siostrą, oraz jeszcze większą wrogością wobec teściowej.

Podobno w jednej z rozmów z synem matka postawiła ultimatum: „Rasputin albo ja”. Skończyło się wyjazdem w maju carowej wdowy do Kijowa. Nie chciała być świadkiem gorszących scen na dworze, synową uznała za zwykłą wariatkę. Również córki (OTMA – skrót od imion – Olga, Tatiana, Maria, Anastazja) były zaniepokojone stanem umysłu matki, mimo, że wcześniej wszyscy stanowili bardzo zgodną rodzinę.

W listach do cara Aleksandra Fiodorowna skarżyła się na nieposłuszeństwo i brak zrozumienia, zwłaszcza Olgi. Już w październiku 1915 r. w jednym z listów do cara pisała: „Dzieci, mimo całej miłości, rzadko rozumieją mój punkt widzenia na różne sprawy, nawet najdrobniejsze. (...) Olga zawsze odnosi się do mnie najbardziej nieżyczliwie, a kiedy jestem wobec niej surowa, dąsa się na mnie”.

Wcześniej carowa wyobcowana ze społeczeństwa – teraz sama wyobcowała się z całej rodziny Romanowów, która otwarcie z niej kpiła, nazywając ją „okropną Heszanką”, „Kobietą, która poprawiała Jezusa” itp. Coraz częściej rozważano nawet fizyczne pozbycie się carowej. Maria Fiodorowna nie była tak radykalna, ale też była za jej odsunięciem: „inaczej może całkiem zwariować; niech idzie do jakiegoś klasztoru, albo po prostu zniknie”.

Księżę Jusupow wraz z gronem zaufanych osób w grudniu dokonał zamachu na Rasputina. Carowa była zrozpaczona. Zajęła się osobiście jego pogrzebem w Carskim Siole. Ufundowała nagrobek (zniszczony przez żołnierzy po aresztowaniu cara; zwłoki najpierw wystawiono w ratuszu na widok publiczny, później spalono i zakopano w nieznanym miejscu); przychodziła z córkami, by modlić się na jego grobie, ponieważ – jej zdaniem – „umarł, aby nas ratować”.

Zażądała kary śmierci dla zamachowców. Maria Fiodorowna wymogła na carze, by nie wszczynał śledztwa. Wobec Jusupowa zastosowano zesłanie do jego

majątku, W. Puriszkiewicz sam wyjechał na front. W kręgu rodziny stwierdzono, że oprócz hipnotyzera należy zastosować środki wobec zahipnotyzowanej. Carowi radzono umieszczenie jej w sanatorium dla psychicznie chorych, zapewnienie jej spokoju i leczenia. Bezwolny car znów podzielił się informacją z żoną. Skutek był wiadomy.

Carową coraz częściej (bezpodstawnie) podejrzewano o sprzyjanie Niemcom. Mówiono nawet, że jest niemieckim szpiegiem. Autorytet cara był całkowicie zdruzgotany. Niestety, car o całe zło obwiniał naród, uważał, że to nie on ma starać się zdobyć zaufanie społeczne, lecz społeczeństwo powinno odzyskać jego zaufanie. Nie słuchał niczyich rad oprócz rad żony.

O carowej nawet wśród oficerów sztabowych krążyły słuchy, że jest szpiegiem kajzera Wilhelma, że między Carskim Siołem i jego sztabem istnieje tajna łączność radiotelegraficzna i przekazywane są tajemnice wojskowe; że problemy z zaopatrzeniem w żywność w Petersburgu są spowodowane „wysyłaniem całymi wagonami żywności swoim Niemcom” z rozkazu znienawidzonej carowej. Tym samym tłumaczono wzrost cen żywności, szczególnie chleba i wprowadzenie kartek na cukier.

Coraz pogardliwiej mawiano o romanisie carowej z Rasputinem, o zmuszaniu córek do sypiania ze „Świątym Starcem”. W każdą plotkę chętnie wierzono. Carową podejrzewano nawet o kontakty homoseksualne z jej damą dworu i przyjaciółką Anną Wyrubową.

Kiedy w styczniu 1917 r. M. Rodzianko (Przewodniczący Dumy Państwowej) składał carowi raport o stanie państwa, wyraził podobne stanowisko. Rodzianko sugerował abdykację; prosił go, by naród nie musiał wybierać między losem cara i ojczyzny. Zdumiony car zapytał: „czy to możliwe, że przez dwadzieścia dwa lata starałem się po-

stępować jak najlepiej i przez dwadzieścia dwa lata robiłem wszystko źle?”. Rodzianko skwitował: „Tak, Wasza Imperatorska Wysokość, przez dwadzieścia dwa lata prowadził Pan błędną politykę”.

W marcu 1917 r. na carze wymuszono podpisanie aktu abdykacji. Podpisał ją w imieniu własnym i syna, na rzecz młodszego brata Michała jako cara Michała II – o czym nie wiedział sam zainteresowany. Carem był zresztą tylko jeden dzień.

W obronie Mikołaja nie wystąpili nie tylko bliscy mu oficerowie. Potępiła go cerkiew, akcentując „rozpustne życie carowej”. Nawet członkowie rodu Romanowów odwrócili się od niego. Skończyło się trzechsetletnie panowanie dynastii Romanowów. Imperium upadło.

Los rodziny carskiej najpierw znalazł się w rękach Rządu Tymczasowego, później bolszewików. Carowi radzono szybki wyjazd z rodziną za granicę. Car kategorycznie odmówił. Twierdził, że zbyt kocha Rosję. Był przekonany, że jako osoba prywatna – obywatel Romanow – będzie mógł zamieszkać z rodziną na Krymie, w swoim majątku w Liwadii lub choćby w Kostromie (kolebce Romanowów).

Areszt w Carskim Siole trwał kilka miesięcy. Córki rozchorowały się na odrę i musiały ogolić głowy z powodu wypadających włosów. Carowa spaliła wszystkie listy od cara z okresu ich narzeczeństwa i wszystkie osobiste zapiski (sześć skrzyń). Na początku sierpnia rodzina carska została eksmitowana do Tobolska pociągiem z napisem „Czerwony Krzyż”. Carowa bardzo się cieszyła, że jedzie do krainy „Naszego Przyjaciela”, który zywota tam rodzinę carską. W jej mentalności nic się nie zmieniło. W Tiumeniu wsiedli wraz ze świętą na pokład parowca. Po drodze we wsi Pokrowskoje mijali dom Rasputina. Cała rodzina zebrała się na pokładzie, by popatrzeć na dom „świętego starca”. Carowa i córki nadal nosiły medaliony z jego podobizną.

Warunki życia carskich więźniów w Tobolsku była raczej znośne. Rodzina, podobnie jak członkowie świty, nie skarżyła się. Pozwolono im na prowadzenie korespondencji, otrzymywanie paczek. Niestety, tocząca się wojna domowa wywoływała niepokój. „Biali” oficerowie myśleli o uwolnieniu koronowanych więźniów, a bolszewicy o ich zgładzeniu. W korespondencji określali ich pogardliwie jako „ładunek”.

Do Jekatieryburga wywieziono byłego cara i carową, oraz córkę Marię. Ze względu na chorobę Aleksego pozostali członkowie rodziny pozostali w Tobolsku. Kiedy car, carowa i ich córka przybyli do Jekatierynburga, na dworcu tłum powitał ich złowrogim okrzykiem: „powiesić ich”. Carowa była bardzo zaskoczona, przekonana o uwielbieniu dla nich wśród prostego ludu.

Pozostałe dzieci dołączyły do rodziców dopiero pod koniec maja. Znowu rodzina była razem, ale zredukowano liczbę osób im towarzyszących. Kiedy na początku lipca rozpoczęła się interwencja wojsk brytyjskich, francuskich i amerykańskich, postanowiono zlikwidować Romanowów przebywających na Uralu. Dni rodziny carskiej były policzone. Egzekucji dokonano w nocy z 17 na 18 lipca 1918 r. Dwóch członków plutonu egzekucyjnego (Łotysze) odmówiło udziału w rozstrzelaniu.

Tych, którzy nie zginęli natychmiast, brutalnie dobijano bagnetami; krwawa łaźnia trwała dziesięć minut. Kiedy rozebrano ciała do naga, znaleziono w odzieży prawie 8 kilogramów biżuterii. Amulety z wizerunkiem Rasputina nie uratowały im życia. Kolejne koło historii się zamknęło. Pierwszy car z dynastii przed wyborem na tron przebywał z matką w klasztorze Ipatiewskim, ostatni z rodziną został zamordowany w domu kupca Ipatiewa. Czy mistyczka carowa to przewidziała? □

KRZYSZTOF WOŹNIAKOWSKI

## ANDRUS KIVIRÄHK I JEGO NIEZWYKŁY ŚWIAT WYOBRAŹNI

W latach 2018-2021 na polskim rynku wydawniczym nakładem trzech oficyn pojawiły się aż cztery przekłady książek zupełnie u nas nieznanego wcześniej, a bardzo wysoko cenionego nie tylko w swojej ojczyźnie i szeroko tłumaczonego w świecie, pisarza estońskiego Andrusa Kivirähka; wszystkie w przekładzie z estońskiego jednej z nader nielicznych znawczyń tego języka w Polsce Anny Michalczuk-Podlecki. Andrus Kivirähk (ur. 1970), uważany dziś w Estonii za jednego z najważniejszych, a zarazem najbardziej wszechstronnych i popularnych literatów, jest absolwentem studiów dziennikarskich w Tallinnie, pracownikiem gazety „Eesti Päealeht” („Estońska Gazeta Codzienna”) a zarazem prozaikiem i dramaturgiem wypowiadającym się zarówno w twórczości dla dorosłych, jak i, skądinąd bardzo obficie, dla dzieci<sup>1</sup>. Jego bibliografia za lata 1995-2021 obejmuje aż 51 pozycji książkowych. Twórczość pisarza bardzo chętnie odwołuje się do wykorzystującego folklor estoński fantasy, baśniopisarstwa i realizmu magicznego, a zarazem skrzy się od humoru oraz ironii, pokpiwa z mitów historycznych i ciasnych parafialnych tradycji narodowych. Czytelnik polski otrzymał dwie jego najważniejsze i wielokrotnie tłumaczone na języki obce powieści dla dorosłych, będące aktualnie koroną sławy prozaika, oraz dwie książki dla dzieci.



Andrus Kivirähk

\* \*

Powieścią, która zapoczątkowała sławę pisarza i przyniosła mu międzynarodowy rozgłos, był *Człowiek, który znał mowę węży* (2007, przekład polski 2020)<sup>2</sup>. Rzec rozgrywa się w – traktowanym niezwykle umownie i z wielkim przymrużeniem oka – wieku XIII, kiedy to ziemie estońskie padły ofiarą krzyżackich kolonizacji; nie ma jednak nic wspólnego z tradycyjną prozą historyczną, jest natomiast fantastyczną i pełną dowcipu baśnią z wyrazistymi kpiarskimi aluzjami na temat charakteru narodowego i przemian cywilizacyjnych. XIII-wieczni Estończycy (których pisarz robiąc oko do czytelnika wyposażył w nieistniejące w tamtych czasach niemalże współczesne poczucie tożsamości narodowej) znaj-

<sup>1</sup> Por. zwięzłą sylwetkę pisarza oraz jego bibliografię w języku angielskim: [http://www.estlit.ee/?id=10876&author=10876&c\\_tpl=1066&make\\_sections=1](http://www.estlit.ee/?id=10876&author=10876&c_tpl=1066&make_sections=1)

<sup>2</sup> Andrus Kivirähk, *Człowiek, który znał mowę węży*. Z języka estońskiego przełożyła Anna Michalczuk-Podlecki, Gdańsk: Wydawnictwo Marpres 2020, s. 410, 2 nlb. Tłumaczenie i druk książki dofinansowane przez Cultural Endowment of Estonia.

dują się w uświadamianym sobie dobitnie czasie przejściowym między niemożliwą do odbudowania przeszłością, a nader niejasno rysującą się przyszłością. W odległej przeszłości, która jest już w XIII w. jedynie mgliście pamiętana, Estończycy byli bogatym i potężnym narodem, pozostającym pod opieką gigantycznego skrzydlatego węża zwanego Północnym Gadem, który zwyciężał i pożerał wszelkich najeźdźców Estonii, pozostawiając jej mieszkańcom ich dobytek, wzbogacający w ten sposób narodowe zasoby. Północny Gad zapadał niekiedy w ukryciu w sen, z którego w razie potrzeby zbudzić go mogło minimum 10 000 Estończyków, potrafiących biegle posługiwać się pradawnym językiem trudnych węzowych syków. Ale w czasach, gdy rozgrywa się akcja utworu, liczebność narodu gwałtownie się kurczy; a znajomość nawet podstaw języka węży (pozwalającego m.in. panować nad światem zwierzęcym) błyskawicznie zanika. Coraz mniej liczni Estończycy – myśliwi mieszkają wprawdzie w chatkach kurnych ale w lasach; odziewają się w skóry i ulegają pokoleniowej degeneracji (nie ma już wśród nich już właściwie nikogo, kto posiadałby charakterystyczne dla dawnych pokoleń węzowe zęby jadowe; a ich kobietom zdarza się – co nie budzi już specjalnie zdziwienia i jest tolerowane – wiązać się partnersko i żyć z leśnymi niedźwiedziami). Na dodatek wciąż wzrastające grupy opuszczają lasy i wybierają poza nimi nowatorskie i egzotyczne życie we właśnie powstających wsiach, gdzie zaczynają zajmować się czymś tak dziwnym jak rolnictwo, posługiwać się egzotycznymi przedmiotami jak sierpy, grabie czy kołowrotki, ubierać nie w skóry lecz tkaniny i żywić nie mięsem, ale obrzydliwym chlebem. Mieszkańcy wsi ulegają też fascynacji uznanymi za niezwykłych zdobywcami kraju – żelaznymi niemieciami rycerzami i towarzyszącymi im mnichami, są wobec nich pełni kompleksów niższości, porzucają pogaństwo przodków



i tradycyjne imiona, łatwo nawracają się na wiarę chrześcijańską, akceptowaną ze wszystkimi swoimi aberracjami (wielu wieśniaków fascynuje śpiew kościelny i marzą o kastracji dla znakomitego efektu artystycznego...); część z nich porzuca język ojczysty dla uosabiającego lepszy i nowoczesny świat niemieckiego. Zanikająca społeczność leśna zdaje się nie mieć już perspektyw. Trwać uparcie i wbrew wszystkiemu przy dotychczasowym stylu życia, czy dać się „zwieśnić” i schryścianizować, a więc utracić tożsamość?

Wśród tych dylematów, dotyczących także najbliższą rodzinę, miota się bohater-narrator powieści Leemet (opowiadający swoje dziecięce i młodzieńcze dzieje już w późnej starości); zarazem ciekawy nowego świata jak i nieufny wobec niego, odrzucający anachroniczne szaleństwa fanatycznego pogańskiego szamana-oszusta, ale i nader sceptyczny wobec nowych wierzeń i ich wynaturzeń; wypuszczający się czasem z lasu, by przyjrzeć się bliżej nowemu

wiejskiemu życiu (a także egzotycznym dla siebie wiejskim dziewczętom); ale daleki od jego pełnej akceptacji; jako jeden z ostatnich Estończyków podtrzymujący znajomość mowy węży.

Dodajmy, że w lesie egzystuje jeszcze w izolacji jedna dodatkowa mikroskopijna grupa mieszkańców. Są to – nakreślone przez Kivirähka ze specyficznym ciepłym humorem i wyraźną sympatią... ostatnie małpoludy (sic!), z ogromną rezerwą obserwujące życie coraz mniej licznych leśnych Estończyków, nie zwalczające go, wyrozumiałe i tolerancyjne, ale i nie przyjmujące do wiadomości człowieczych „nowinek” (jak można odziewać się w skóry, kiedy należy chodzić nago, jak można mieszkać w chatach, kiedy należy w jaskiniach, jak można piec mięso, kiedy należy jeść surowe...). W pewnej fazie uparcie kultywujące odwieczne tradycje małpoludy uznają zresztą także mieszkanie w jaskiniach za zbyt „modernistyczne” i przenoszą się na drzewa. Bohater powieści dostrzega komiczny tradycjonalizm wiekowych małpoludów, ale – co ciekawe – w wielu kwestiach dogaduje się z nimi o wiele lepiej niż z leśnymi czy wiejskimi rodakami i zawsze może liczyć na ich życzliwość, mądre rady i pomoc. Podobny wspólny język, przyjaźń i racjonalną wiedzę o świecie znajduje w środowisku leśnych węży, które traktują go niemal jak członka rodziny.

Leemet widzi gwałtownie postępującą zanik i degenerację swego leśnego świata, do którego jest szczerze przywiązany. Jakkolwiek dostrzega jego postępującą anachroniczność, a także przynajmniej częściowe opieranie się na bezmyślnie kultywowanych błazeńskich obrzędach obłąkanego szamana Ülgasa, czciociela świętego gaju i nieistniejących leśnych duchów, rzekomo domagających się coraz nowych krwawych ofiar. Ale odrazą napelniają go także „nowocześni” wiejscy Estończycy, bezmyślnie akceptujący równie okrutne i szafujące krwią chrześcijaństwo i unizo-

ną podległość panującym niemieckim rycerzom oraz mnichom.

Powikłane losy bohatera powieści, który w dramatycznych okolicznościach w związku z powyższymi napięciami i krwawymi konfliktami traci swoich najbliższych (kolejne ukochane: „leśną” Hiie oraz „wiejską” Magdaleenę, matkę, czy zaprzyjaźnione mądre węże), pozwalają zarysować całą panoramę postaw zajmowanych w zmieniającym się świecie: od komicznego, ale sympatycznego konserwatyzmu małpoludów, poprzez racjonalne umiłowanie walorów leśnego życia i tradycji wuja Vootele, poprzez stopniowe osuwanie się w obojętność wobec świata, gnuśność i bezczynność siostry Salme, żyjącej z niedźwiedziem; aż po agresywne i w ślepej obronie tradycji sięgające po przemoc i zbrodnię „leśne” wsteczństwo szalonego szamana Ülgasa i otumanionego przez niego sąsiada Tambeta.

Świat „wiejskich” Estończyków to również świat krwawej agresji wobec wszystkich niechrzczonych, dawnych tradycji i wierzeń, a także uznanych za narzędzia szatana węży; świat nowych groteskowych przesądów (jak ochrona owiec przed wilkami przy pomocy poświęcanej krajki) i groteskowej uniżoności wobec nowych niemieckich panów, ich mowy, żelaznych zbroi; a nawet (jedna z najzabawniejszych scen powieści) zachwyty... nad kształtem, barwą i smakiem łajna cudzoziemskich rycerskich koni. Szczególnie taką postacią jest tutaj dawny przyjaciel Leemeta Pärt, który po opuszczeniu lasu i wychrzczeniu się zmienia się w Peetrusa i z czasem staje się jednym z głównych wrogów bohatera, sprawcą wielu jego cierpień i nieszczęść, a swoją „modernistyczną” karierę wieńczy niesłuchanie elitarnym w przekonaniu wieśniaków i zaszczytnym stanowiskiem giermka niemieckiego rycerza.

Istnieje też skazana jednakże ostatecznie na porażkę opcja aktywnej walki z niemieckimi rycerzami, reprezentowana przez

groteskowego beznogiego dziadka Leemeta, ostatniego Estończyka z jadowitymi wężowymi zębami, który opanował sztukę latania na skrzydłach z ludzkich kości, i który z czaszek pokonanych wrogów masowo wyrabia gustowne pucharki...

Pełna „czarnego” makabrycznego humoru powieść Kivirähka pełna jest krwi, okrucieństw i scen przemocy dokonywanej przez wszystkie orientacje, wyniszczające się wzajem w imię iluzorycznych ideałów i wątpliwych najczęściej wartości. W fantastyczno-baśniowy kostium, na przemian komiczny i mroczny ubrane są wszakże wcale poważne i ważne problemy egzystencjalne małej społeczności narodowej w czasach gwałtownych przeobrażeń cywilizacyjnych, połączonych z nieprzyjacielską ekspansją. Trwać za wszelką cenę przy dawnym stylu życia, skazując się na uwiad lub wyniszczenie, czy dostosować się do nowego, z kolei za cenę utraty tożsamości? Kto jest „prawdziwym Estończykiem” i za jaką cenę? Jak wynika z posłowie tłumaczki (s. 410-411), *Człowiek, który znalazł mowę węży* stał się także swoistym ironicznym przyczynkiem do przetaczających się przez Estonię bezpośrednio po rozpadzie ZSRR w latach 90-tych XX w. powszechnych dyskusji o tożsamości narodowej i patriotyzmie.

Wieloznaczne i prowokujące do rozmaitych interpretacji jest zakończenie *Człowieka, który znalazł mowę węży*. Sędziwy już bohater utworu Leemet odnajduje wreszcie tajemniczą kryjówkę śpiącego Północnego Gada i poświęca się czuwaniu i opiece nad nim; jednocześnie mając pełną świadomość, że jako ostatni Estończyk władający mową węży nigdy nie będzie w stanie obudzić go do dawnych działań na rzecz bogactwa i chwały narodu, gdyż jak wspomniano, potrzeba do tego 10 000 mówiących po wężowemu. Leemet przeżył swój świat, pogodził się z tym, nie zaadaptował się w nowym; pogodził się także z tym, że przemienie i on, ostatni wiedzący coś o Północnym

Gadzie. „Czas wężowych słów przeminął. Kiedyś i ten nowy świat ze swoimi bogami i rycerzami będzie zapomniany i ludzie wynajdą coś jeszcze innego” (s. 407). Ale wciąż trwa w spokoju na samotnym postęrnku...

\*\*\*

Powieścią chronologicznie wcześniejszą, ale przyswojoną polszczyźnie w drugiej kolejności, są brawurowe, znane dziś podobno niemal każdemu Estończykowi oraz sfilmowane *Listopadowe porzeczki* (2000), ceniona adaptacja filmowa reż. Rainera Sarneta (2017, przekład polski 2021<sup>3</sup>). Jej akcja zgodnie z tytułem rozgrywa się między 1 a 30 listopada (każdy dzień stanowi osobny rozdział), nieokreślonego bliżej roku na wsi w XIX-wiecznej Estonii, potraktowanej niezwykle umownie i fanastykczno-baśniowej.

Gdzieś, bardzo daleko panuje znany właściwie jedynie ze słyszenia rosyjski car (jedynym śladem państwowości rosyjskiej jest zamieszkujący wioskę groteskowej kaleki weteran wojskowy nieokreślonych dawnych wojen Timofiej), panami są powszechnie znienawidzeni niemieccy baronowie, estońscy chłopci żyją własnym życiem, kłócąc się i zwalczając wzajemnie, niemilosiernie okradając i oszukując zarówno niemiecki dwór (powołując się przy tym na... „patriotyczne” powinności i związki z XIII-wiecznym wodzem estońskim z czasów walk z Krzyżakami, Lembitem), jak i siebie wzajemnie.

Niemieccy panowie są też w gruncie rzeczy głupkowaci, tyle że mają władzę i pieniądze. Ogromną rolę odgrywają w powieści tzw. kraty. Krat (est. *kratt*), będący w posiadaniu niemal każdego miejscowe-

<sup>3</sup> Andrus Kivirähk, *Listopadowe porzeczki*. Z języka estońskiego przełożyła Anna Michalczuk-Podlecki, Kraków: Wydawnictwo Literackie 2021, s. 283, 2 nlb. Książka dofinansowana przez Cultural Endowment of Estonia w ramach programu Traducta.

go wieśniaka, to fantastyczny twór z estońskiego folkloru, sklecony z przedmiotów zbędnych w gospodarstwie (typu stare wiadra, miotły i inne odpadki), ożywiony przy pomocy duszy wykupionej od diabła, wykonujący wszelkie polecenia swego właściciela i twórcy, polegające przede wszystkim na okradaniu zarówno niemieckiego dworu, jak gospodarstw sąsiadów.

Powieściowa wieś estońska jest zresztą za pan brat ze zjawiskami „nie z tego świata”. Nieboszczycy egzystują tutaj „jak żywi” i ich obecność nikogo nie dziwi. Różne strzygi, wiedźmy, upiory-trupibuty, puukimlekipijce, psiogłowcy są w wiejskiej rzeczywistości czymś zwykłym i niemal naturalnym, podobnie jak diabły, od których odkupuje się dusze do ożywiania kratów i które (dość często, ale nie zawsze) udaje się chłopom oszukać, wciskając im krople soku z tytułowych porzeczek zamiast potrzebnych piekielnikom kropel ludzkiej krwi. Sami wieśniacy również chętnie uciekają się do zabiegów magicznych, potrafią zamieniać się w wilki czy też latać i (w złodziejskich celach) przenikać przez ściany. We wsi egzystuje kościół. Starego głupawego pastora cieszy spora liczba przyjmujących komunię, ale nie wie, iż wyplute po wyjściu ze świątyni hostie służą do nabijania chłopskich strzelb, co zapewnia im myśliwską niezawodność...

W takim oto niezwykłym świecie (trapionym też m.in. przez strasliwą i podstępłą zarazę morową) rozbawiony czytelnik śledzi powikłane i zwariowane perypetie sercowe kilku postaci: przygłupi parobek Jaan chce się przypodobać pokojówce dworskiej Luizie, karbowy Hans bez nadziei kocha się w niedostępnej dla niego niemieckiej panience ze dworu – baronównie, w Hansie z kolei durzy się Liina, przez własnego ojca nienawidzącego Hansa swatana wbrew swej woli – do czasu – z prymitywnym ordynusem Endelem...

Estońscy chłopcy, w niektórych sytuacjach (zwłaszcza w kontaktach z istotami

z innego świata) sprytni i pomysłowi, jednocześnie w kontaktach wzajemnych niejednokrotnie dają dowody zdumiewającej tępoty i prymitywnej zachłanności na kradzione dobra, których przeznaczenia nie znają (np. wyzerając baronowi... mydło czy świece), i zapiekłej zawiści. Autor powieści doskonale bawi się przy tym – używając bachtinowskiej terminologii – „dołem cielesno-materialnym”: w utworze pełno jest fekaliiów, brudu, smrodu, gnoju, rzygowin i pierdzenia.

Jednocześnie jednak, przy całej swojej obrzydliwości i komicznej prymitywności, świat chłopski nie jest wolny od elementów sympatyczniejszych, kierujących się swoim rozumem i doświadczeniem; jak np. stary stodołnik (nadzorca młocki i suszenia zboża) Sander, pomagający bezinteresownie sąsiadom; m.in. wybawiający podstępem wieś od złowrogiej zarazy. Czarny humor, niekiedy drastyczna skatologia ale i elementy romantycznych porywów, szalona fantazja inkrustowana ludowym folklorem i – przede wszystkim – bezpardonowa kpina z narodowo-patriotycznego zadęcia, to – moim zdaniem – ogromne walory tej niezwyklej opowieści, bezwzględnie wartej lektury.

\*\*\*\*

Czytelnik polski otrzymał też dwie powieści Andrusa Kivirähka adresowane wprawdzie – przede wszystkim – do młodszego odbiorcy, ale z przyjemnością dające się też czytać przez dorosłych, utrzymane – jak wspomniane wyżej utwory – także w klimacie fantastyki i niezwykłości; tym razem łagodnej i pełnej ciepła. Raczej do młodszych dzieci odbiorcy adresowany jest *Oskar i rzeczy* (2015, przekład polski 2018<sup>4</sup>).

<sup>4</sup> Andrus Kivirähk, *Oskar i rzeczy*. Z języka estońskiego przełożyła Anna Michalczuk-Podlecki, Ilustrowała Anne Pikkov, Piaseczno: Wydawnictwo Widnokrąg 2018, s. 298, 1 nlb. Patronat honorowy Ambasada Estonii. Tłumaczenie

Rzecz rozgrywa się w jak najbardziej współczesnej Estonii. Przedszkolak Oskar, umiejący już czytać, ale nie chodzący jeszcze do szkoły, na skutek zbiegu rodzinnych okoliczności (amerykański staż mamy i praca ojca) spędza dwa miesiące u babci na wsi. Jest niepokieszony, gdyż podczas pakowania zapomniał wziąć swojej komórki z gramami. Wiejska egzystencja Oskara przebiega na styku kilku światów. Chłopczyk bezustannie konfrontuje sposób życia babci, jej nawyki, ubiór, potrawy i prace z odmienną rzeczywistością miejskiego życia z rodzicami (pełna humoru okazja do pokazania dziecięcego punktu widzenia i wychwytywania śmiesznośtek dorosłych). Nie chcąc, mimo namowy babci, integrować się z wiejskimi dziećmi, w celu zabicia czasu sporządza sobie drewnianą atrapę zapomnianej przy wyjeździe komórki.

Nowa zabawka ujawnia swoje niezwykle przymioty, ponieważ pozwala Oskarowi prowadzić rozmowy z przedmiotami w domu i ogródku babci – czemu chłopczyk poświęca się bez reszty, poznając (w sekrecie przed babcią impregnowaną na dziecięce tajemnice i fascynacje) całą galerię nowych znajomych – mówiących rzeczy. Okazują się one bardzo podobne do ludzi w swoich zwyczajach, marzeniach, wadach czy śmiesznośtkach.

Krzesło z jadalni marzy o dalekiej podróży np. do ogródka czy... kibelka. Stary zegar ścienny z kukułką chciałby być dyrektorem ogrodu zoologicznego. Szafa ubraniowa wyżywa się w tworzeniu horrorów o krwiożerczych poduszkach czy ręcznikach. Szczoteczka do zębów okazuje się daleką krewną szczotki. Kosz na śmieci jest poetą, dzbanuszek i cukierniczka przeżywają płomienny romans, a złośliwy zardzewiały gwóźdź okazuje się wcale utalentowanym aktorem – to tylko niektóre ze spraw, które stają się udziałem chłopczyka.

---

i druk dofinansowane przez Cultural Endowment of Estonia.

Oskar, dobrze zorientowany w popularnych baśniach i literaturze dziecięcej, kontaktując się z rzeczami, służąc im pomocą i radą, z pasją wciela się w znane sobie dotąd jedynie ze świata lektury role doktora, detektywa czy obrońcy słabszych; doznaje związanych z tym satysfakcji, radości, ale także rozczarowań i smutków; zwłaszcza w kontaktach z zacepionym przypadkowo na drzewie wyjątkowo humorzystym czerwonym balonikiem, którego chce traktować jako najlepszego nowego przyjaciela.

Niezwykłe umiejętności Oskara kontaktowania się z rzeczami pozwalają wreszcie na odnalezienie przez niego zgubionego przez babcię przed ponad półwieczem jej pierścionka zaręczynowego – co bardzo umacnia niezbyt dotąd stabilne nici porozumienia między maluchem a samotną i żyjącą po swoim staruszką.

Raczej dla dzieci starszych przeznaczona jest dająca się interpretować w kategoriach swoistej filozoficznej przypowieści *Tilda i kurzolek* (2018, przekład polski 2021<sup>5</sup>), rozgrywająca się współcześnie w nieokreślonym mieście, znanym w całym świecie jako siedziba fabryki genialnego zwariowanego wynalazcy Abela Ragnarsona, twórcy najlepszych na świecie pralek, lodówek, komputerów i – przede wszystkim – odkurzaczy, żyjącego samotnie w otoczeniu robotów w swojej białej niedostępnej dla nikogo twierdzy, nienawidzącego wszelkiego brudu i kurzu; i pracującego nad super-odkurzaczem mającym pochłonąć cały kurz świata i nad przerebieniem ludzi w sterylne postacie jak z gier komputerowych.

Główną postacią powieści jest dziewczynka Tilda, wychowywana przez samotną matkę, sprzedawczynię w sklepie z pro-

---

<sup>5</sup> Andrus Kivirähk, *Tilda i kurzolek*, Z języka estońskiego przełożyła Anna Michalczuk-Podlecki, Ilustrowała Joanna Bartosik, Piaseczno: Wydawnictwo Widnokrąg 2021, s. 146, 5 nlb. Tłumaczenie i druk książki zostały dofinansowane przez Cultural Endowment of Estonia.

duktami Ragnarsona. Właściwie nie znała swego ojca, który zginął w katastrofie lotniczej tuż po jej urodzeniu. Matka ma co do tego uraz i wciąż przeżywa traumę. Odmawia córeczce jakichkolwiek informacji o tragicznie zmarłym. Dziecko nie zna nawet imienia ojca, nie wie nic o jego wyglądzie. W życiu Tildy (i innych postaci powieści) pojawia się jednak kurzołek, widoczny tylko dla niej baśniowy stworek, powstały z drobinek zawsze i wszędzie istniejącego niezniszczalnego kurzu, przechowującego pamięć i wiedzę o przeszłości.

Dzięki kurzołkowi Tilda niejako poznaje swego nieżyjącego ojca oraz najwcześniejszy etap swego dzieciństwa, tuż po urodzeniu, o którym nic nie wiedziała. Kurzołek Tildy (i inne kurzołki) wprowadzają wiele bardzo korzystnych zmian w życiu mieszkańców miasta – pod wpływem pyłków przeszłości ludzie się zmieniają na lepsze, odnajdują sens życia, partnerów i pasje zawodowe, a fabryka Ragnarsona chcącego przerobić ich na sterylne postacie z gier komputerowych, ulega – wraz z fanatycznym i niebezpiecznym wynalazcą – zagładzie.

Okazuje się, że bez pełnej wiedzy o przeszłości nie można szczęśliwie egzystować, a mama Tildy uświadamia sobie niewłaściwość własnego postępowania wobec córeczki. Jak konkluduje polski wydawca, opowieść o ku-

rzołkach w dowcipny, a miejscami sensacyjny sposób zachęca młodego odbiorcę do poszukiwania odpowiedzi na w gruncie rzeczy bardzo poważne pytania o własną tożsamość, cele życiowe, wartości; i o to, co jest rzeczywiście dobre dla człowieka i świata...

Literatura estońska *de facto* zaistniała w przekładach na polskim rynku wydawniczym dopiero po II wojnie światowej, a i to raczej w skromnym i nie zawsze reprezentatywnym zakresie. Niemniej doczekaliśmy się edycji ważnych utworów takich np. istotnych współczesnych autorów, jak (już niestety nieżyjący) wybitny autor prozy historycznej Jaan Kross (1920-2007), czy – również niedawno zmarły, zresztą polskiego pochodzenia – Jaan Kaplinski (1941-2021). Znacznie od nich młodszy Andrus Kivirähk, przebojowo docierający do naszego odbiorcy w przekładach Anny Michalczuk-Podlecki z lat 2018-2021, dzięki swojemu ciepłu i zgrzyliwemu humorowi oraz ironicznej optyce spojrzenia na przeszłość i współczesność, połączonej z rozbuchaną wyobraźnią w typie baśni i fantasy, może z pewnością liczyć na zainteresowanie polskiego czytelnika - nawet niewiele wiedzącego o historii i kulturze estońskiej. Miejmy nadzieję, że to nie ostatnie tłumaczenia jego utworów w naszym kraju. □

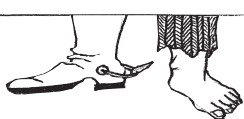


## SANEK DOKŁ?

### NOWINKARSTWO

Zapytano kiedyś Igora Strawińskiego, znakomitego kompozytora, jednego z czołowych twórców muzyki XX wieku, co sądzi o muzyce nowoczesnej.

- Nie znoszę jej! – wykrzyknął kompozytor.
- Jak to, a pańskie kompozycje?
- Ja nigdy nie pisałem muzyki nowoczesnej – odparł Strawiński.
- Piszę po prostu muzykę...



MIECZYŚLAW JAKUBIEC

## W COVIDOWEJ MGLE ...

Mija właśnie kolejna doba zbrojnej napaści Rosji na Ukrainę. Jeszcze jakiś czas temu miałem nadzieję, że ten koszmar tak szybko minie, jak szybko się zaczął, że „świat” uczyni wszystko, aby przerwać tę niesprawiedliwą, niewypowiedzianą wojnę. Tak się jednakowoż nie dzieje. Agresja rosyjska dzień po dniu niesie z sobą zniszczenia, pożogę, śmierć tysięcy ofiar po obu stronach, a szokowani i bezradni europejscy politycy zasłaniają się natowskim „piątym paragrafem”, który uchronić ma każdą piędź naszej ziemi.

W rzeczywistości nikt „nie chce umierać za Gdańsk”. Potentaci gospodarczy wolą materialnie wesprzeć walczącą Ukrainę, wolą dogadać się z oszalałym Putinem, byle obroty handlowe nie dostały zadyszki, byle jakoś wygrać zbliżające się u siebie wybory. Taka jest widziana gołym okiem prawda.

A tymczasem, korzystając z pandemicznego chaosu, z gasnącego dla liberalizmu entuzjazmu, z narastającej polaryzacji koncepcji politycznych nawet w samej Europie, pojawił się „wychowany na najlepszych wzorach wątlęgo zdrowia führe- rek”, który postanowił przywrócić światu rozsypane imperium. Przygotowywał swój plan konsekwentnie tuż pod nosem reszty Europy, którą uzależnił od siebie surowcowo. Zgromadził niezbędne środki finansowe, skupił wokół siebie doborowe kadry, wywodzące się ze znanych mu doskonałe służb.

Można go uważać za paranoika, za obsesjonistę, ale świat go po prostu nie docenił. Jedni – jak np. Trump – zapatrzony we własny biznes pozwolił sobie nawet zmani-

pulować wybory prezydenckie, inni – jak „malutki” Orban – wybrał przyjaźń energetyczno-surowcową, jeszcze innym wspomaga Putin budżety ich partii (oczywiście opozycyjnych). Byłbym zapomniiał o terytorialnym zapleczu Putina w postaci Białorusi pod wodzą *bat’ki* Łukaszenki. Nie tak daleko stąd ma jeszcze paru innych „pożytecznych idiotów”. Jedyne wielkie Chiny czujnie go obserwują, przyjaźniąc się powściągliwie. Słowem polityczna sielanka. Jak w obliczu agresji rosyjskiej zachowa się ostatecznie ten starszy, siwy pan w Białym Domu? Zobaczymy. W Rzymie tamtejszy dostojnik wykonał osobiście spacer do ambasady rosyjskiej. No i *chwatit*, ale jego polscy podwładni w Warszawie wiadomej ambasady nie odwiedzili.

Jestem „młodocianym emerytem”. Mam dopiero 80 lat i co nieco pamiętam z dzieciństwa. Najpierw wycinałem z brystolu picassowskiego „gołąbka pokoju”, podpisywałem się też „pod apelem sztokholmskim”, chodziłem z transparentem „nigdy więcej wojny”. Pamiętam również – dzięki Monice Warneńskiej – że warkot samolotu pasażerskiego wietnamskim dzieciom w Polsce kojarzył się z nadlatującym bombowcem. Wtedy chowały się opiekun- ce „w mysie dziury”, krzycząc: *pichengi! pichengi!* (samoloty, samoloty!). Zastanawiam się, co zapamiętają z tej wojny dzieci ukraińskie? Kolejny tydzień patrzę na nie przerażony (oczywiście w kolorowym *tivi*), podczas gdy one ufne uśmiechają się do swych udręczonych matek, objuczonych tobołami, albo jedzą zadowolone jakieś słodkie bułki, czasem *kożaka*, czasem marudą i płaczą. Starsze albo są bardzo smut-



Matki i dzieci z Ukrainy na dworcu w Krakowie

ne, albo wpatrują się apatycznie w ekranik z grą. Wszystkie też niosą malutkie plecaczki. Są ładnie ubrane i zadbane, przecie są w podróży. Dokąd? Na jak długo? „A to wie mama.” Czasem wiozą z sobą pieska, albo kota. Dziewczynka, może sześciolatnia, przedstawia po imieniu trzy szczurki utulone w koszyku.

To wszystko dzieje się na stacjach granicznych w pierwszych dniach wojny. Płynie rzeka matek i dzieci. Relacje z głębi Ukrainy są jednak coraz bardziej przerażające, ludzie koczują na dworcach, oczekują znajomych, krewnych albo w ogóle nie wiedzą co z sobą zrobić. Tymczasem gadające głowy w tv gędzą, bzdurzą, powielają relacje. Te ostatnie przeplatają się z wiadomościami z ostatniej chwili. Przemądrzy politycy nadużywają form czasu przyszłego oraz trybu przypuszczającego: „zrobimy, przeanalizujemy, omówimy, może uda się pomieścić” itd., itd. To znaczy, że niewiele zrobili, nie przygotowali, że nie potrafią opracować planu działania.

A tymczasem dzieci uciekają przed... dziećmi, trochę starszymi. Te ostatnie to rosyjscy żołnierze. Jedni sądzą, że są na ćwiczeniach, inni udają, że nic nie wie-

dzą. Dziś już w te bajki mało kto w nie wierzy, choć jeszcze kilka dni temu wystraszony „najeźdźca” mówił do słuchawki przesłuchującego go Ukraińca: „Mamo, jestem w niewoli, ale nic mi nie jest”, a ten drugi zapewniał zszokowaną matkę, że to prawda, że nic mu nie zrobią.

Z dnia na dzień widzimy, jak naród ukraiński walczy o swe przetrwanie, jak broni swej tożsamości, jak oczekuje wsparcia, które otrzymuje mało skutecznie z powodu globalnych przeszkód. W tej sytuacji jakże wysoko należy ocenić cywilną pomoc sąsiadów, choćby Polaków, Słowaków i Rumunów, którzy wspierają walczącą społeczność ukraińską, zapewniając uchodźcom bezpieczny dach nad głową i wzmacniając ich nadzieję na kres tej tragedii.

Słucham kilka razy dziennie wystąpienia prezydenta Ukrainy, który motywuje swych rodaków do walki z okupantem, i jednocześnie prosi możnych Europy o pomoc. Tym, którzy pomagają – dziękuje serdecznie. Prawie wszyscy oczywiście współczują mu, ale możliwości pomagających są zróżnicowane i ograniczone. Jaki będzie efekt ich pomocy pokażą najbliższe dni. Oby ta pomoc okazała się finalnie skuteczna. Oby. □

# DZIECIAKI I ZWIERZAKI

Mam w kuchni mały telewizorek. Taki „ogłupiacz”, jak mawia mój wnuk. Rzeczywiście, obcowanie z tym urządzeniem rozumu nie dodaje, szczególnie w dzisiejszych czasach.

Właśnie kończyłam przygotowywać deser. Nasz domowy kundelek zlustrował sytuację w kuchni. Stwierdził, że nie „załapie się” na deser, bo nie lubi deserów, a poza tym słodczy mu szkodzi. Posiedział więc w progu, ziewnął i poszedł do swojego koszyka.

Z telewizora spoglądały na mnie twarze ukraińskich kobiet i dzieci. Już nawet nie sposób policzyć złych emocji kierowanych w stronę kremłowskiego tchórza, dla którego dzieci mogą być siłą, którą należy zwalczać. A myślałam, że uda mi się nie dożyć takich widoków...

Nawet nie zauważyłam, że w kuchni pojawiła się moja wnuczka.

– Patrz, patrz babciu! Oni nawet swoje zwierzaki ewakuują! – głos dziewczyny drżał, a broda się trzęsła.

Rzeczywiście, na ekranie w objęciach kilkuletniej Ukrainki widać pieska. Kundelek taki sam jak nasz. Uroda kundelkowa. Tylko psi wzrok mówi. Zadaje pytania:

„Dlaczego tu jesteśmy?”

„Dlaczego tu pachnie inaczej?”

„Dlaczego nie mogę pobiegać?”

„Dlaczego tu nie ma naszego pana?”

„Dlaczego jest smutno?”

„Dlaczego się boję?”

Tych pytań mogłoby być znacznie więcej. Ale na każde z nich może paść tylko jedna odpowiedź.

Próbuję pocieszyć jakoś wnuczkę. Łzy same płyną jej po policzkach, chociaż na co dzień nie jest sentymentalną płaksą.

– Popatrz, babciu. Jeszcze niedawno zwierzaki i dzieciaki w telewizji były najlepszą formą reklamy tysiąca różnych produktów. Budziły rozczulenie. Tak fajnie były upozowane. Takie były do... do schrupania. Były kochane. Takie słodziaki. A dzisiaj?

– Dzisiaj reklamują wojnę, chociaż to strasznie brzmi. Ale co my możemy zrobić?

– Poczulałam najgorsze z uczuć. Bezradność.

Najgorsze jest to, że nie umiałabym wnuczce wytłumaczyć głupoty i okrucieństwa świata ludzi dorosłych. Cokolwiek chciałoby się powiedzieć – wyjdzie źle. Nieprawdziwie. Wiem tylko tyle, że tam, gdzie wybuchają bomby i płoną domy nie ma już



**POMAGAMY SCHRONISKU NA UKRAINIE!**

ratujemy  
zwierzaki.pl

Największy portal pomocy zwierzętom!



żywych ludzi. Nie ma także zwierząt. Psy i koty nie zostały przywiązane w lesie lub przy drodze. Zostały zabrane na wojenną turlaczkę. Żeby marnie nie zginąć. Żeby ocalić choć trochę psiej i kociej godności. To też jest ważne.

– Babciu! Muszę pójść na dworzec, pomóc wolontariuszom. Pomożesz mi zrobić trochę kanapek?

– Jasne, że tak. Weź też paczkę karmy dla pszków.

Babcia

## DAJĘ, BO NIE MOJE

Całkiem niedawno kolejny pisowski tęgi głowacz, poseł Piotr Babinetz wydalil z siebie cenny pomysł, aby państwu węgierskiemu oddać jedno z najcenniejszych dzieł spośród zasobów bibliofilskich w świecie. Chodzi o przepięknie zdobione piętnastowieczne cymelium „Epistola de laudibus augustae bibliothecae atque libri quattuor versibus scripti eodem argumento ad serenissimum Mathiam Corvinum Pannoniae regem”. (W polskim tłumaczeniu: List do Najjaśniejszego Macieja Korwina, króla Panonii, o pochwałach dostojnej biblioteki oraz cztery księgi napisane wierszem na ten sam temat).

Pergaminowe arcydzieło z drugiej połowy XV wieku ozdobione zjawiskowo pięknymi iluminacjami przez mistrza Attavante degli Attavanti z Florencji trafiło do Biblioteki Gimnazjum („Bibliotheca Publica Masiana”, Bibliotheca Scholae Torunensis”) pod koniec XVI wieku. To wtedy właśnie burmistrz Henryk Strobant założył Bibliotekę, zwaną również Książnicą i Gimnazjum.

Burmistrz Strobant i inni darczyńcy-założyciele dołożyli licznych starań, aby toruńską szkołę wzbogacić o jak najcenniejsze egzemplarze ksiąg. W tamtych czasach kupno dobrych artystycznie i merytorycznie ważkich księzek było przedsięwzięciem trudnym i piekielnie kosztownym. Dość wspomnieć, że jeden egzemplarz dobrej księgi wart był tyle, co wieś razem z chłopami. Należy jeszcze dodać, że egzemplarz tego dzieła trafił do Torunia w pełni legalnie, nie został zatem nigdy łupem wojennym, obiektem kradzieży, czy innych nieetycznych działań. Książnica toruńska w świecie bibliofilów, muzealników i pracowników sfery książki zawsze była i jest kojarzona właśnie z tym dziełem. Była, ale czy będzie?

Nie wiadomo, bo oto pan poseł Piotr Babinetz (firmujący ustawę), któremu pojęcie „książka” zapewne niewiele mówi, wymyślił sobie, że robi prezent z tego, co nie jest jego własnością. Zastanawiam się, co w tym przypadku wzięło górę: głupota czy arogancja.

Co trzeba mieć pod czaszką, by z jednej strony domagać się od Niemców i Szwedów zwrotu dóbr naszej kultury, zagrabionych w czasach wojen, a z drugiej strony lekką ręką próbować pozbyć się jednego z najcenniejszych zabytków w zbiorach polskich?

Słyszałem wypowiedź jednego z prominentnych polityków PiS, że przecież to żadna szkoda, bo w ten sposób podziękujemy za przekazanie przez Węgrów zbroi dziecięcej Zygmunta II Augusta, a poza tym, że tekst nie ma związku z Polską. To może od razu pozbądźmy się „Damy z Gronostajem”, bo też nie ma związku z Polską, co?

Oczywiście pomysł posła PiS wywołał lawinę protestów. Na forach internetowych ukazały się formularze do podpisania apelu o zaniechanie takich haniebnych praktyk. Swą jednoznacznie negatywną „Opinię dotyczącą poselskiego projektu ustawy o przekazaniu na rzecz Węgier kodeksu

„Epistola de laudibus augustae bibliothecae atque libri quatuor versibus scripti eodem argumento ad serenissimum Mathiam Corvinum Panoniae regem” – zamieścił w internecie dr Andrzej Jakubowski (prawnik i historyk sztuki), specjalizujący się w międzynarodowych zagadnieniach ochrony dóbr kultury.

Mam nadzieję, że szaleństwo posła Babinetza nie znajdzie w Sejmie aprobaty.

I mam jeszcze jedną nadzieję. Otóż taką, że sami wyborcy z Torunia i okręgu posła Babinetza w nadchodzących wyborach odpowiednio wynagrodzą geniusza-pomysłodawcę i skażą go na polityczny niebyt.

Jeżeli nie będzie natychmiastowej, merytorycznie bezbłędnej reakcji, to do stałego kanonu politycznych haseł PiS dojdzie kolejne: „DAJĘ, BO NIE MOJE”.

Marchoń



## KULTURA

Jesteśmy przywiązani do myślenia – a nawet w porywach głosimy to – że kultura jest dobrem. Cywilizacja, sztuka, moralność... Ale raczej rzadko zastanawiamy się nad tym, której to kulturze należy się wysokie uznanie.

Podobnie jest z religią. Jak się chrześcijaństwo przysłużyło choćby Indianom Ameryki? Zwłaszcza Południowej? Albo Afrykanom? Czy Prusom, Łotyszom, Litwinom bądź Łatgalom, o których starodawnej kulturze nawet w przedwojennych podręcznikach trudno się czegoś dowiedzieć. Mowa w tym ostatnim wypadku o tej „jedynie słusznej i prawdziwej religii”, krzewiącej kulturę – w przeważającej mierze przednioazjatycką, z domieszką egipskiej czy babilońskiej – za pomocą ognia i miecza.

Zastanawiam się, jak to działa i czy to jest w porządku. Można posłuchać w Sieci na przykład pieśni (bo to już nie była tylko piosenka) o tytule *Tomorrow belongs to me* (z filmu *Kabaret*). Idealny wprost wzór propagandowego urabiania młodzieży i dorosłych. W wersji na You Tube, skopiowanej z filmu, jedynie fizjonomia dziadka nie

zdradza zachwyty i uniesienia. Bo on to już ma za sobą; przerabiał podczas I wojny.

Ale jak to coś działa? Tak samo, jak podobne chwytły. Wrzepia się w mózg i nie sposób tego odczepić. Tak jak – dajmy na to – *Kormorany*. Jak szlagiery po prostu. Wpada w ucho i nie ma sposobu, żeby to z ucha wymazać. Tylko że *Kormorany* naruszają co najwyżej wrażliwość estetyczną ludzi niecierpiących „zawodzenia”, powodującego u nich pewien dyskomfort (sąd subiektywny). Natomiast *Tomorrow z Kabaretu* jest esencją – symboliczną prezentacją, jak to bywa w przypadku dzieł sztuki – zagnieżdzenia się zarodka faszyzmu w Niemczech hitlerowskich. I to już nie jest – tak mi nie mam – sąd wyłącznie subiektywny.

Tylko dziadek, powtarzam, nie jest tą pieśnią w owym filmie zachwycony i uniesiony. Podobnymi „pieśniami” dzisiejszymi też – jak mi nie mam – raczej by nie był. Niedysiejszymi również. Choćby takimi jak *Boże Caria chрани...* Też jest w Sieci. Albo *Boże coś Polskę ... Bądź: My ze spalonych wsi ...*

JK

## WIARA A RELIGIA

Ze znanych mi znaczeń pierwszego z tych dwu tytułowych pojęć tylko jedno zasługuje na baczną uwagę i głębszy namysł.

Filologicznie rzecz rozbierając: wiara jest rzeczownikiem odczasownikowym, od słowa „wierzyć”; inaczej: wierzenie.

Filozoficznie zaś biorąc – wiara ma głęboki sens nie jako „wierzenie w coś” (np. w „istotę nadprzyrodzoną” lub „cuda”),

lecz jako wierzenie komuś, zaufanie do kogoś.

Wierzenia zaś to pojęcie (nie pojęcia!) z kategorii kulturowych czy etnicznych przeświadczeń i nawyków.

Zatrzymajmy się więc nad tym, co jest racjonalne, czyli ma sens. Otóż z doświadczenia – tak historycznego jak osobniczego – wiadomo całkiem pewnie (bo sprawdzalnie), że wierzenie komuś może być i bywa

zawodne. Np. powierzenie komuś pieniędzy na przechowanie, albo zawierzenie, że nie uwiedzie męża lub żony.

Wiadomo przecież, że nic nie jest pewne – oprócz podatków i śmierci, jak to ktoś ujął. Jednak zaufanie człowieka do człowieka jest jedyną podstawą (konstruktywną, by tak rzec konsekwentnie), czyli fundamentem współpracy ludzi ze sobą.

A w pojedynkę to się można co najwyżej powiesić lub utopić. Sens zaś tego przedsięwzięcia jest znikomy lub wręcz żaden.

Z jakiego punktu widzenia? Z racjonalnego właśnie. Bowiem tylko życie (tak uważam) jest samosensowne. Rozumiem przez to, że pytanie o jakiś inny sens życia niż ono samo i jego trwanie jest pytaniem z kategorii źle postawionych pytań (czyli niedorzecznych).

Podobnie zresztą – choć na odwrót – jest z pytaniem o sens cierpienia; gdyby mianowicie ktoś się doszukiwał jego pozytywnego sensu, chociaż zwiastuje ono śmierć.

Kompletnym już bezsenssem wydaje się zaś przyjęcie, że śmierć ma sens. Zapytajmy ponownie: a z czyjego to punktu widzenia śmierć mogłaby mieć sens? Boć prze-

cież nie przyznamy palmy za sensotwórczość zbrodniarzom!

Tymczasem zdarza się – i to obserwujemy niezliczoną wręcz ilość razy na przestrzeni dziejów – że pojawiają się i na nie-szczęście nie tyle zanikają co mutują pomysły, a nawet całe formacje wychowawcze (niekiedy zwane przesadnie szkołami), oraz struktury społeczne i państwowe, które opierają się na założeniach i podstawach zupełnie odmiennych, wręcz sprzecznych z przedstawionymi wyżej pod rozwagę. Jak choćby taka myśl, że życie nie ma sensu. Albo jeszcze bardziej niedorzeczna, że cierpienie ma sens.

Zadziwiająco jest natomiast co innego – przy tych wszystkich sloganach o „cudzie” życia czy „wyższej” racji cierpienia, które jakoby uszlachetnia; tak jakby miarą szlachetności była ilość lub intensywność bólu – „najlepiej” nie do wytrzymania. Zdumiewa mianowicie np. to, że tak wiele ludzi godzi się na te „ciągi” nie wiedząc przez kogo, za co i w jakim celu wymierzane. Jak krnąbrne – lecz posłuszne – dziecko. Albo jak niewolnik.

JK

Dzieją się tak okrutne rzeczy, że informacje o nich odruchowo wypieramy. Ale kiedy niebo i ziemia zaczynają grzmieć w jasny dzień i drzeć – tego się nie da wyprzeć.

Najpierw było nam smutno i przykro, a teraz zrobiło się naprawdę strasznie.

Pamiętam huk dział w styczniu 1945, ten złowrogi warkot samolotów i serie karabinów maszynowych.

Pamiętam, jak Mama – ze mną na rękę – odsunęła się od okna; i pamiętam tę dziurę w szybie...

Radziecki pilot strzelał do niemieckich żołnierzy; była to strefa frontowa.

Potem widzieliśmy – przez inne okno – trupy tych żołnierzy, którzy się wycofywali, oraz ich koni.

A teraz mamy ofertę zakupu ciężkiej broni; nie do odrzucenia...

W takim razie trzeba się zaopatrzyć w zatyczki do uszu i coś tam jeszcze.

Chyba że będą „w pakiecie”, „darmowe”.

Do Lwowa niedaleko.

JK

z portali – gazeta.pl

fulko\_de\_lorche

11 dni temu

Instytut *Ordo Iuris*, utworzony w Polsce przez brazylijską sektę religijną „Tradição, Família e Propriedade”, w skrócie TFP. Fragment logo TFP wykorzystany jest w logo instytutu OI. Konferencja Episkopatu Brazylii wydała w 1985 dokument w którym biskupi Brazylii nawołują katolików, by nie zapisywali się do TFP i nie współpracowali z TFP: Brak jest wspólnoty TFP (Brazylijskiej wspólnoty na rzecz Obrony Tradycji Rodziny i Własności) z Kościołem w Brazylii, jego hierarchami i Ojcem Świętym. Orga-

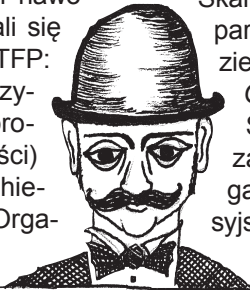
nizacja Tradycja, Rodzina i Własność była w roku 1995 przedmiotem analizy francuskiej komisji śledczej ds.



sekt. W raporcie tym TFP zostało określone jako jeden z najbardziej aktywnych ruchów pseudo-katolickich.

W 2013 r. Fundacja *Ordo Iuris*, wraz z sześcioma innymi organizacjami z Polski (w tym Stowarzyszenie im. ks. Piotra Skargi), podpisała się pod listą poparcia dla rosyjskiej ustawy o zakazie propagandy homoseksualizmu.

*Ordo Iuris* współpracuje także ze Światowym Kongresem Rodzin, założonym przez rosyjskiego oligarchę i byłego prezesa Kolei Rosyjskich Władimira Jakunina.



## SANEĞ DOLİK?

### CENA WYSIŁKU

Aleksy Tołstoj, autor cyklu powieści *Droga przez mękę* i dramatów historycznych, takich jak *Piotr Pierwszy* czy *Iwan Groźny*, dyskutował kiedyś z Michałem Szołochowem o trudzie tworzenia. Do rozmowy wtrącił się jakiś początkujący literat i z zaryzykowanym uśmiechem oświadczył:

- Dla mnie napisanie powieści wcale nie jest wysiłkiem!

Na co Tołstoj odparł spokojnie:

- No, cóż, w literaturze panuje swobodne prawo równowagi. Każdy utwór kosztuje tyle trudu, ile jest wart...

### HERETYK

Znany poeta Dante Alighieri – autor *Boskiej komedii* – będąc niegdyś w kościele na mszy świętej, zapomniał uklęknąć i zdjąć z głowy kaptur podczas podniesienia. Kilku obecnych przy tym florentyńczyków zawiadomiło o tym biskupa i oskarżyło poetę o herezję. Biskup nakazał przywołać Dantego i począł czynić mu wyrzuty.

- Istotnie – odrzekł po wysłuchaniu tej reprimendy Dante – myśli moje tak były w tej chwili zwrócone ku Bogu, że nie pamiętam, co czyniło moje ciało. Ale ci, którzy mnie oskarżają, też nie są bez winy. Myśleli tylko o mnie, zamiast się modlić!





■ Dyktatura to państwo, w którym wszyscy boją się jednego, a jeden wszystkich.

*Alberto Moravia*

■ Władza, która opiera się na niesprawiedliwości, nie może być trwała.

*Demostenes*

■ Wszystkie nacjonalizmy są bezdrożami prowadzącymi donikąd.

*Jose' Ortega y Gasset*

■ Terror potęguje strach i odwagę, dwie właściwości bardzo niebezpieczne dla dyktatorów.

*Bertolt Brecht*

■ Nadzieja jest rośliną trudną do wypłenienia. Można nie wiem ile odrąbać gałęzi i zniszczyć, a zawsze będzie wypuszczać nowe pędy.

*Isadora Duncan*

■ Największym złem, na które cierpi świat, to nie siła złych, lecz słabość dobrych.

*Monteskiusz*

■ Cóż za dziwną naturę ma człowiek! Wyobraża sobie mianowicie, że cierpienia, które sam znosi, są ogromne, a te, które zadaje – znikome. Jedne bowiem sam odczuwa, drugich zaś nie.

*Pierre Bayle*

■ Cierpienie wymaga więcej odwagi niż śmierć.

*Napoleon Bonaparte*

■ Człowiek, który nikogo nie lubi, jest bardziej nieszczęśliwy niż ten, którego nikt nie lubi.

*François de La Rochefoucauld*

■ Jesteśmy lojalni wobec naszych potomków. Pozostawiamy im wprawdzie żałośnie urządzone świat – ale i środki do jego zniszczenia.

*Gabriel Laub*



Projekt okładki: Piotr Augustynek

Kompozycja stron: Artur Koziół

Grafiki: Piotr Augustynek. Zdjęcia: Antoni Pietryka, zasoby internetu



Francisco Goya  
z cyklu *Okropności wojny*